ROK XVII NR 20 (861) ŁÓDŹ, 16 MAJA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

► DZIEŃ PARTYJNEGO CZYNU ► WINCENTY PSTROWSKI – Ziemowit Miedziński i Marcin Rodak ► KOCHAJMY MERKUREGO – Krzysztof Pogorzelec ► RECEPTA NA TEATR PROWINCJONALNY – Anna Kuligowska ► ARMAND HAMMER – PODEJRZANY AMERYKANIN – Jerzy Czech ► ZWADA NAD PRZYCIASNĄ MOGIŁĄ – Jan Gontal ► Z KABANOSEM DO PARYŻA – Andrzej Grun ► OCZEKIWANIE NA SYNTEZY – Lektor ► FRASZKI – Horacy Safrin ► POZOSTAŁY MU TYLKO SŁOWA – Elżbieta Wróblewska ► WIĘZIENIE – Georges Simenon ► WIOSENNE MARZENIA – Widok ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► POLEMIKI ► SEX W LITERATURZE ►

Pewnej nocy przyszpilono na ulicy beatowca i zaczął się trzeci akt dramatu z najwyższych estradowych sfer. Prokurator wydał nakaz aresztu i oto przewieźli ptaszka z Komendy do więzienia.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BEATODRAMA

1.

Przed sądem, który zbierał się w kilku terminach, beatowiec wyglądał grzecznie. Cichy, układny, od czasu do czasu unosił rękę jakby chciał ściągnąć z głowy to, co nie było bynajmniej kapeluszem... Kłuła może trochę w oczy jego hiszpańska uroda może trochę zbyt pstrokato był ubrany, ale współczesny sąd nie jest w końcu inkwizycją: adwokat też miał pod szyją kolorową apaszkę.

Skazano nieboraka na rok w zawieszeniu.

Gdyby ktoś bezstronny uczestniczył w owej rozprawie, doszedłby zapewne do wniosku, że kara jest akuratna. Beatowiec jednakże poczuł się skrzywdzony. Wyrok wyrokiem, włosy włosami, ale gdzie ma przytulić skołataną głowę? W mieszkaniu, które kupił za ciężko zarobiony grosz, urzęduje wroga mu żona, a w nogach u żony śpi teściowa. Kiedy wyszedł z aresztu, prokurator zabronił mu mieszkać we własnym domu. Sąd, rzecz jasna, uchylił to zarządzenie, sąd dał mu prawo powrotu w domowe pielesze, ale beatowiec nie jest znowu taki głupi. Wejdę — powiada — a ta się ciachnie żyletką po łapie albo wyskoczy z oarteru na ulicę i znowu mnie zwiną.

2.

Beatowiec poznał swoją żonę na koncercie w 1970 roku. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata, a ona zaledwie dziewiętnaście. Tralilali no i się pobrali, ale jeszcze przed ślubem beatowiec zaczął w słoneczko swojego życia mocno inwestować: zabierał ją z sobą na trasę, w Zakopanem sprawił jej kożuch, za który niby miała mu zwrócić; nie żałował jej na ciuchy i łakocie.

O ile w czasach narzeczeństwa rodzina panienki gorąco te wspólne wojaże popierała, wychodząc z założenia, że zdobycie męża jest trochę ważniejsze od zdobycia wykształcenia, to po ślubie ich stosunek do zięcia uległ gwałtownemu ochłodzeniu. Wpuścili go wprawdzie do ciasnego mieszkanka na przedmieściu, ale nie dali mu klucza. Zaczęli mu, jak to się mówi, włazić na głowę: sztorcować go, ustawiać, sprawdzać, czy aby przynosi do domu wszystko, co zarobi, pouczać, że powinien więcej dawać na wspólne wydatki i na żonine szmatki, a mniej pakować na własny grzbiet.

Beatowiec nie zrażał się trudnościami pożycia, wierząc, że kiedy dostanie samodzielne mieszkanie, wszystko się jakoś ułoży. Jednakże w pewnej chwili poczuł się zaniepokojony, a było to wtedy, kiedy przywiózł z zagranicznej wyprawy dwa kolorowe telewizory. Któregoś dnia chciał jeden z nich sprzedać, ale nim wytaszczył go z mieszkania, do akcji

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ BLAJER

TAJEMNICA ŚMIERCI MUSSOLINIEGO (III)

Krótko po godzinie 5 „Neri", „Pedro", Moretti i „Gianna" opuszczają dom De Maria i odjeżdżają. Dokąd? „Pedro" i „Gianna" — do Dongo, a „Neri" i Moretti — do Como, do Federacji Komunistycznej utworzonej przed niespełna kilkoma godzinami przez Dante Gorreri („Guglielmo"). Kapitan „Neri" spotyka się tam z Gorrerim i wyjaśnia mu gdzie jest teraz Mussolini. Zwierza się także z tego swojej matce. Następnie nagle wyjeżdża i wraz z Morettim przybywa nad ranem 28 kwietnia do Dongo. Natomiast Dante Gorreri przekazuje do Mediolanu informację o miejscu pobytu Mussoliniego.

Nadchodzi wiadomość, że ubiegłej nocy oddziały 34 dywizji amerykańskiej osiągnęły już peryferie Como. W ten sposób pod ich kontrolą znalazł się rejon położony między Mediolanem a Azzano di Mezzegra. Na via del Carmine sytuacja nie wygląda więc różowo. Istnieje całkiem realna możliwość, że alianci mogą przejąć Duce, a do tego przecież żadną miarą nie można dopuścić. Około 6 nad ranem zapada decyzja o losie Mussoliniego. Śmierć. Lecz jeżeli Duce ma zostać zabity, to czasu jest bardzo mało. W Kwaterze Głównej postanawiają więc, że „Valerio" wraz z eskortą powinien natychmiast wyruszyć. Wydaje się jednak, że misja w wykonaniu kilkunastoosobowej grupy jest zbyt trudna, aby się powiodła.

Rozpoczął się wyścig z czasem. Kto pierwszy przechwyci Mussoliniego, Amerykanie, czy partyzanci? Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę z tego, iż akcja przejęcia Mussoliniego „pod nosem" Amerykanów, może w każdej chwili pokrzyżować nawet mały oddziałek lub pojedyńczy ludzie z innych organizacji partyzanckich. Obawy te, jak się później okaże, nie były bezpodstawne, bowiem w rzeczywistości niezależnie od „Valerio" po Mussoliniego wyrusza tajemnicza osoba — „X".

Do Sieny zostaje wysłana drogą radiową nieprawdziwa wiadomość, podająca, że Mussolini został rozstrzelany. Z kolei w tym samym czasie, tj. około godziny 8 Leo Valiani został obarczony obowiązkiem poinformowania gen. Codorny o rozkazie CLN — stracenia byłego dyktatora.

(W tym miejscu cała sprawa przedstawia się dość mgliście, bowiem, jak się później okazało, rozkazu tego CLN nie mógł wydać i faktycznie nie wydał. Niemniej jednak nie zostało to jeszcze do końca wyjaśnione i niejednokrotnie już wzniecało burzliwe polemiki).

Codorna żąda rozkazu na piśmie. Valiani odpowiada na to, że polecono mu, żeby przekazał to jedynie w formie ustnej. Nie wiadomo również, kto napisał „słynną" depeszę wysłaną do Sieny. Komendant Giuseppe Cirillo, który nadawał jej treść, pamięta, że tekst był napisany na kartce, ołówkiem i bez podpisu. Cirillo nie jest również pewny godziny, o której transmitowano depeszę, jak i tego, kto ją dostarczył. Sądził wówczas, iż chodzi o postawienie aliantów wobec faktu dokonanego.

Od tego momentu sytuacje zmieniają się jak w kalejdoskopie. „Valerio" wraz z 14 partyzantami Oltrepo pod dowództwem Orfeo Landini przybywa około 8 do Como. Towarzyszy im czarny „Fiat", którym jadą Aldo Lampredi i „Riccardo" czyli Alfredo Mordini. Pierwszy z nich — pułkownik „Guido" jest zastępcą Luigi Longo w dowództwie CVL, drugi — to inspektor brygady „Garibaldiego". Obaj to doświadczeni i wypróbowani partyzanci, mający za sobą wojnę domową w Hiszpanii i długi okres walki w szeregach francuskich „maquis" oraz włoskim ruchu oporu. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami płk. „Valerio" udaje się do prefektury w Como i żąda ciężarówki dla swojego oddziału. Miejscowy komitet CLN ma pewne trudności z zaspokojeniem tego żądania. Wszyscy zastanawiają się co zrobić z Mussolinim po przywiezieniu do Como. Pada propozycja, aby „ugościć" Duce w więzieniu San Donnino. Kontakty z aliantami nie wchodzą już w grę.

Czas płynie, a „Valerio" sam nie bardzo wie, co ma zrobić ze swymi niejasnymi rozkazami. Jego irytacja rośnie. Jakie podjąć kroki? Około 9.30 Lampredi czyli pułkownik „Guido" przerywa owo niezdecydowanie, komunikując Valerio, że problem nie tkwi już w przejęciu Mussoliniego, lecz w rozstrzelaniu go na miejscu, o ile okaże się to konieczne. „Valerio" jest wyraźnie zaskoczony. Chce się skontaktować z Mediolanem, aby otrzymać potwierdzenie tej zasadniczej zmiany w swojej misji. Sam Lampredi bynajmniej nie wprowadza go w szczegóły całej sprawy. Zresztą bardzo się śpieszy. Zbiega ze schodów prefektury i w pobliskiej kafejce odnajduje „Riccardo" (Mordini), po czym obaj udają się wspomnianym już „Fiatem" do Federacji Komunistycznej w Como.

„Valerio" próbuje bezskutecznie nawiązać kontakt telefoniczny z Mediolanem. Dopiero około godz. 11 udaje mu się połączyć z Kwaterą Główną na via del Carmine. Rozmawia z Luigi Longo, wicekomendantem CVL. W rezultacie owej rozmowy „Valerio" zostaje w Como. A co w tym czasie robią „Guido" i „Riccardo"? Dotychczas ich działalność między godziną 14.30 a 19.20 (28. IV.) gdy to pojawili się ponownie, lecz potajemnie na placu w Dongo, była przez publicystów zajmujących się wyjaśnieniem okoliczności śmierci Mussoliniego prawie całkowicie zaniedbywana. W najlepszym razie określano ją jako „tajemniczą nieobecność". Sam „Valerio" tak wówczas jak i później wyrażał oburzenie ze zmiany, jaka nastąpiła, z tej dezercji — jak to określał. Oskarżał przy tym „Guido" o usiłowanie „zdmuchnięcia mu sprzed nosa" misji wykonania egzekucji na Mussolinim.

Ta blisko 5-godzinna nieobecność „Guido" i „Riccardo" okazała się jednak niezwykle interesująca. Obaj bowiem byli widziani w Dongo o godz. 14.20, czyli w około 10 minut po przybyciu pułkownika „Valerio". Jak to się stało, że „Valerio" wyruszywszy z Como o 12.30 nie spotkał ich po drodze? Fakt ten jest tym bardziej zastanawiający również i z tego względu, że z Como do Dongo nie ma innej drogi jak tylko wzdłuż jeziora. Dlaczego więc na nich nie natrafił i co robili przez owe pięć godzin? Odpowiedź na to pytanie, która była dotąd całkowitą zagadką, okazała się zupełnie prosta. Otóż „Guido" i „Riccardo" znalazłszy się w Federacji Komunistycznej w Como spotkali się z Dante Gorrerim oraz człowiekiem o nieujawnionym dotąd nazwisku (nazywajmy go dalej „X"), o którym było jedynie wiadomo, że został specjalnie przysłany z Mediolanu, aby „załatwić" Mussoliniego. Wraz z nim i Gorrerim (dobrze znanym nad Alto Lago), przybyli do Dongo około godz. 11.30. Zabawili tam tylko przez kilka minut, niezbędnych do wydania polecenia, aby „Neri", Michele Moretti i „Giarna" wsiedli do innego samochodu i pojechali z nimi do Azzano. Tam mieli pokazać im drogę do domu, w którym ukryto Mussoliniego. Wszyscy się dobrze znali, toteż po krótkim przywitaniu ruszyli szybko w dalszą drogę do Azzano, będącego celem ich misji.

Na miejsce dotarli około południa. Od tej chwili wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie. Zostawiwszy samochody w pobliżu głównego placu miasteczka, naprzeciw hotelu „Milano" czterej ludzie pobiegli ścieżką prowadzącą w kierunku domu De Maria, gdzie przebywał Duce. Byli to „Riccardo", Moretti, „Neri" i „X". Po drodze widziało ich kilka wiejskich kobiet, które, sądząc, że są to uciekający faszyści, powiadomiły o tym znajdujących się w pobliżu partyzantów. Dowódca oddziału postanowił wysłać grupę partyzan-

Dalszy ciąg na str. 2

ROZMOWY „ODGŁOSÓW"

O KSIĘGARSTWIE
Z RYSZARDEM KOSELEM – BOGDA MADEJ
str. 6

O KONKURENCJI
W HANDLU Z ALBINEM KOSTRZEWSKIM – ŻANETTA PURYS-REGEL
str. 5

O RUCHU
NA ULICACH Z ANDRZEJEM KOMANEM – JÓZEF POTĘGA
str. 8

DZIEŃ PARTYJNEGO CZYNU

Niedziela 12 maja była dniem ogólnopartyjnego czynu roku 1974. Zrealizowany w ten sposób został powszechny wśród członków partii postulat, by corocznie jeden wolny dzień w roku przeznaczyć na pracę społeczną. Czyn z dnia 30 września, jak i ostatnia niedziela potwierdziły głęboki sens i doniosłość tego typu działania. Wykorzystując doświadczenia ubiegłorocznego czynu, który obok wartości materialnych przyniósł znaczne efekty polityczne i wychowawcze — w ubiegłą niedzielę organizatorzy czynu podjęli duży wysiłek w celu dalszego usprawniania prac i osiągnięcia maksymalnej efektywności. Odstąpiono od nadmiernego rozciągania frontu robót na rzecz koncentracji pracy na najważniejszych dla danego regionu, miasta, wsi — zadaniach. Pozwoliło to na osiągnięcie szybkich, maksymalnych i widocznych efektów.

Tegoroczne prace skoncentrowane zostały przede wszystkim na ważnych odcinkach komunikacyjnych, drogach dojazdowych i trasach wylotowych z miast, organizowanie terenów rekreacyjno-sportowych, budowę obiektów kulturalnych i służby zdrowia. Na wsiach — remiz, przystanków autobusowych, budowę dróg. W Warszawie główny wysiłek skoncentrowano na przyspieszeniu budowy Wisłostrady. Wśród robotników, inżynierów, nauczycieli i młodzieży pracowali tu przywódcy partii i rządu na czele z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem.

Tak było w całej Polsce. Obok ponad 2 milionowej rzeszy członków i kandydatów PZPR spontanicznie wzięli udział członkowie bratnich stronnictw politycznych — ZSL i SD, organizacji młodzieżowych i bezpartyjni. Czyn partyjny 12 maja stał się kolejną manifestacją jedności, siły, zdolności mobilizacyjnej i organizatorskiej partii. Był jeszcze jednym niezbitym dowodem, że właśnie członkowie partii chcą i przodują w naszym społeczeństwie. A fakt, że ten ogromny wysiłek skierowany był głównie na budowę, modernizację i porządkowanie obiektów użyteczności publicznej w miastach i wsiach, świadczy, że w intencji czynu było wyjście naprzeciw ogólnospołecznym potrzebom. Czyn partyjny potwierdził kolejny raz, że zgodnie ze strategią VI Zjazdu PZPR budowa socjalizmu to tworzenie możliwie najlepszych warunków bytu i życia ludzi.

Tegoroczny dzień czynu partyjnego przypadł w okresie szczególnym, w roku 30-lecia Polski Ludowej. Ten jubileusz skłania każdego Polaka do refleksji, do wniosków jednoznacznych. Wszyscy uczcimy go najlepiej i najpiękniej — pracą. Nie tylko wzorowym wypełnianiem obowiązków na co dzień, ale i dodatkowym wysiłkiem na miarę naszych potrzeb i ambicji. W pierwszym szeregu ludzi tak myślących są komuniści — i dali tego dowód 12 maja.

Jest rzeczą równie ważną, zasługującą na podkreślenie, że czyn społeczny oprócz dużych efektów ekonomicznych, ma także inne, niewymierne, lecz wcale nie mniejsze znaczenie — to element działania politycznego, wychowania obywatelskiego, kształtowania postaw i stosunków międzyludzkich. W tym dniu pracowaliśmy wszyscy jednakowo, niezależnie od miejsca zajmowanego w hierarchii społecznej czy zawodowej, niezależnie od kwalifikacji i rodzaju pracy wykonywanej na co dzień. Jako społeczeństwo działające w warunkach wysokiego uprzemysłowienia i rozwiniętej gospodarki nie kultywujemy ciężkiej pracy fizycznej — odwrotnie, zaprzęgamy w służbie człowieka maszyny, czynimy pracę lżejszą. Fakt, że jednak wszyscy wzięliśmy tego dnia łopaty do rąk, że potrudziliśmy się pracą fizyczną, wykonując najprostsze czynności — ma swoją symbolikę i wymowę. W ten sposób przecież budowaliśmy zręby naszego przemysłu, stawialiśmy fundamenty nowych, socjalistycznych miast i budowli. To hołd dla tamtych czasów i budowniczych, w jakże odmiennych, trudniejszych warunkach mierzących siły na zamiary. Wspólna praca fizyczna ludzi o rozmaitych profesjach to również symbol socjalistycznej demokracji, w ramach której wszyscy niezależnie od zajmowanej pozycji społecznej, równo dzielimy prawa i obowiązki. Trudno znaleźć lepsze, przemawiające do rozumu i wyobraźni potwierdzenie tej zasady.

Jak w całym kraju, w dniu 12 maja komuniści Łodzi i województwa łódzkiego zamanifestowali swą wolę przodowania w pracach na rzecz całego społeczeństwa. Ponad 170 tysięcy członków i kandydatów partii wyszło na budowy, drogi, tereny wypoczynkowe, wielu stanęło przy warsztatach pracy w zakładach o ruchu ciągłym i fabrykach pracujących na potrzeby rynku. W naszym mieście i województwie pracowali również bezpartyjni. Do pracujących grup spontanicznie przyłączali się mieszkańcy okolicznych domów. Wielu członków partii stawiło się do pracy z całymi rodzinami, z dziećmi.

Na tym froncie nie zabrakło oczywiście twórców i działaczy kultury. Pracowali pisarze, plastycy, aktorzy, dziennikarze. Dzień był pogodny, słoneczny, prawdziwie majowy, prawdziwie świąteczny mimo roboczych ubrań i żywego rytmu łopat. Można powiedzieć, że uśmiechało się do nas majowe słońce, tak jak ludzie wymieniali uśmiechy i pozdrowienia, zadowoleni, że dali coś z siebie do wspólnego gospodarstwa i z tego dawania coś ważnego wynieśli również dla siebie. Ludzkie to i piękne.

J. W.

ZASŁUŻONY NAUCZYCIEL

Niedawno w gronie uczniów i współpracowników obchodzono 70 rocznicę urodzin prof. dr JÓZEFA DUTKIEWICZA — historyka, wykładowcy Uniwersytetu Łódzkiego, wybitnego znawcy dziejów Powstania Listopadowego. Z tej okazji staraniem Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego oraz Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych w Łodzi wydano pamiątkową książkę pt. „Józef Dutkiewicz zasłużony nauczyciel PRL".

Książka ta zawiera prace uczniów prof. Józefa Dutkiewicza, którzy omawiają pół wieku działalności Jubilata. Ponadto książka zawiera wykaz prac magisterskich pisanych pod kierunkiem Józefa Dutkiewicza w latach 1948—1972, wykaz prac doktorskich, których promotorem był Profesor oraz wykaz prac habilitacyjnych, które recenzował.

Zespół autorów pracy jubileuszowej „pragnął zaprezentować młodej generacji historyków (...) postać uczonego i nauczyciela akademickiego, który zdobył wysoki autorytet naukowy i w ciągu swego pracowitego życia wniósł poważny wkład w rozwój polskiej nauki historycznej oraz kształcenia młodej kadry".

Publikacja ta jest także przyczynkiem do historii Uniwersytetu Łódzkiego.

NAGRODA

Na Światowym Kongresie Grafiki Warsztatowej ogłoszonym przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej w San Francisco duży sukces odniósł łódzki artysta plastyk **JERZY LESZEK STANECKI.** Jego wielobarwna grafika wykonana techniką wklęsłodruku zakwalifikowana została przez jury do kategorii dzieł o wybitnych wartościach artystycznych. Do tej kategorii prac spośród 7.000 nadesłanych z całego świata grafik zakwalifikowano 40 dzieł sztuki graficznej. Zostaną one wydane w ograniczonej ilości egzemplarzy w formie tek graficznych, rozpowszechnianych na zasadach subskrypcji.

Jerzy Leszek Stanecki urodził się w 1944 roku. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Na tejże uczelni uzyskał dyplom w 1972 roku a obecnie jest asystentem w nowo powstałej Katedrze Grafiki Artystycznej. Uprawia malarstwo i grafikę. W dorobku swoim J. L. Stanecki ma cztery wystawy indywidualne. M.in. w Klubie Dziennikarza w Łodzi w 1970 r. Stanecki bierze również udział w wystawach zbiorowych. Najważniejsze z nich to Piąte Międzynarodowe Biennale Exlibrisu Współczesnego i Szóste Międzynarodowe Biennale Exlibrisu Współczesnego w Malborku. Następnie Wystawa Polskiej Grafiki Marynistycznej w Szczecinie. Wystawa z okazji XXX-lecia Ludowego Wojska Polskiego w Warszawie oraz III Ogólnopolska Wystawa Młodej Grafiki w Poznaniu. Stanecki bierze również udział w wystawach zagranicznych. Uczestniczył w 1972 roku w wystawie exlibrisu z okazji XIV Międzynarodowego Kongresu Exlibrisu w Danii oraz w 1974 roku w wystawie exlibrisu pod nazwą „Renesans exlibrisu w krajach wschodnich", która odbyła się we Francji.

J. L. Stanecki jest laureatem kilku nagród i wyróżnień. Na III Ogólnopolskim Konkursie Grafiki Marynistycznej w Szczecinie (1973) otrzymał wyróżnienie, a na III Ogólnopolskim Konkursie Otwartym na Grafikę w Łodzi (1973) nagrodę specjalną Związku Zawodowego Włókniarzy.

Prace Jerzego Leszka Staneckiego znajdują się w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi, w Muzeum w Szczecinie, w Muzeum Exlibrisu w Malborku, w Gabinecie Rycin Biblioteki im. Ossolińskich oraz w College of Arts and Crafts w Kalifornii.

A. G.

NOTY i OPINIE

▲ **„PISARZE KRAKOWSCY** — jak donosi „Życie Literackie" — **członkowie POP i bezpartyjni, w CZYNIE PARTYJNYM przeprowadzą w szkołach średnich 30 spotkań autorskich w maju i 30 jesienią w Krakowie i na ziemi krakowskiej".**

Pisarze łódzcy, członkowie POP i bezpartyjni wzięli udział w plantowaniu parku przy ul. Piotrkowskiej 262.

▲ **„SPRAWA POLSKA 1944".** W lipcu 1974 roku Telewizja Polska pokaże dwuczęściowe widowisko pt. „SPRAWA POLSKA 1944". Autorami scenariusza są: **Ryszard Frelek** i **Włodzimierz T. Kowalski.** Reżyseruje — **Roman Wionczek.**

Będzie to widowisko oparte o dokumenty, listy, protokóły, stenogramy z rozmów toczonych w 1944 roku przez ówczesnych polityków. Wiele z tych dokumentów nie jest znanych szerszemu ogółowi. Autorzy scenariusza nie pomijają żadnego z ówczesnych ważnych wydarzeń, pragnąc pokazać cały ich splot, który zadecydował o takich a nie innych losach narodu.

▲ **HANKA BIELICKA** zaczynała w teatrze dramatycznym i to z wielkim powodzeniem. Do zmiany repertuaru skłonił ją Ludwik Sempoliński, dostrzegając u niej wybitne zdolności estradowe. Od 1952 roku związana jest z warszawską „Syreną". W tym roku obchodzi 35 lat swojej pracy na scenie. Gratulujemy i życzymy dalszych scenicznych sukcesów!

▲ **EL GRECO** z Kosowa Lackiego. Po 10 latach badań ustalono niezbicie, że odkryty przed tym czasem obraz w kościele w Kosowie Lackim jest dziełem El Greco.

Odkrywcy tego obrazu dr **Izabella Galicka** i mgr **Hanna Sygietyńska** postanowiły dalej prowadzić swoje poszukiwania i ustalić jakimi drogami obraz ten trafił do kościoła w Kosowie Lackim.

▲ **GIGANTYCZNY PARADOKS** zdarzył się w Zakopanem, gdzie jugosłowiańscy budowlani stawiają dla **ORBISU** hotel turystyczny na 600 miejsc. Będzie to najlepiej wyposażony tego typu hotel w kraju. Dysponował on będzie 300 pokojami dwuosobowymi, ani jednym pojedyńczym, a także kilkoma apartamentami, będzie posiadał własny basen kąpielowy, dwie restauracje, dwa bary szybkiej obsługi, bar nocny, kawiarnię, małe pole golfowe, korty tenisowe, kręglarnię i saunę, a także „ogródek dla dzieci", czyli przyhotelowe przedszkole dla gości. Hotel, który ma się nazywać „Kasprowy" będzie gotowy na przełomie lipca i sierpnia 1974 roku i choć jeszcze trwa budowa, to już ma komplet gości na cały bieżący rok.

Ale to nie o ten paradoks, o który chodzi, bo hoteli mamy znacznie mniej niż chętnych do mieszkania w nich i o tym wiemy wszyscy doskonale. Dlatego też cieszymy się, że w hotelowych inwestycjach coś się ruszyło i że ten intratny interes na całym świecie może i nam będzie przynosił dochody. Paradoks polega zupełnie na czym innym. Otóż „Kasprowy" w Zakopanem będzie hotelem z najdłuższym dojazdem, bo wynoszącym aż 14 km. Nie jest to jednak właściwy dojazd do hotelu, tylko zastępczy, praktycznie objazd nieistniejącego dojazdu. Paradoks goni paradoks, ale takie jest życie.

Wzięły się one ze sporów kompetencyjnych. Zakopane legitymuje się uchwałą rządową o rozwoju miasta. W tej uchwale zlecono Ministerstwu Komunikacji budowę drogi do hotelu, ale ministerstwo uznało, że są to kompetencje miasta, czyli że powinno tym zająć się Ministerstwo Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska. Nim spór rozstrzygnięto, nim zapadły decyzje, jugosłowianie zdążyli wybudować hotel.

Cóż, życie!

TAJEMNICA ŚMIERCI MUSSOLINIEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

tów w pościg za nimi. Już mieli wyruszyć, gdy oto w oddali powietrze przeszył charakterystyczny „szczekot" broni maszynowej, który odbił się zwielokrotnionym echem po górach. Jedna, dwie — trzy serie. Wszyscy pobiegli w kierunku góry, usiłując dowiedzieć się, co zaszło. Charakterystyczne, że później prawie wszyscy okoliczni mieszkańcy, którzy musieli słyszeć owe tajemnicze wystrzały, uparcie przemilczali ów szczegół. Tylko pani Rosita Barbanti, która po wojnie przeprowadziła się z Giulino di Mezzegra do Turynu, wspomniała Franco Bandniemu w 1965 roku o tych seriach „czterech faszystów". Dziś już wiadomo, że serie te oznaczały „koniec" Mussoliniego i Claretty (o kilkadziesiąt metrów od domu De Maria). Gdy wspomniani czterej ludzie znaleźli się w domu De Maria, starali się początkowo stworzyć wrażenie, że przybyli z zamiarem uratowania Mussoliniego. W rzeczywistości od początku zamierzali go rozstrzelać.

„Neri" poszedł do pokoju na górze, gdzie przebywał Mussolini z Clarettą. Mussolini już nie spał. Kapitan polecił mu się szybko ubrać i zejść na dół. Duce nie wydawał się być tym zbytnio zdziwiony. Bez protestu spełnił żądanie. Claretta chciała pójść z nim razem, lecz „Neri" nie chciał się na to zgodzić. W końcu jednak zdenerwowany, po krótkiej wymianie zdań z Michele Moretti, rzucił przez zęby: „No to idź, jeśli chcesz". Wyszli.

Mussolini był tylko w ubraniu, bez płaszcza. Również Claretta nie wzięła ze sobą ani futra, ani płaszcza, jak i żadnej z dwóch torebek, które miała po przybyciu do domu De Maria. Ciekawe, że zarówno płaszczy obojga jak i futra Claretty nigdy później nie odnaleziono. „Neri", Moretti, Mussolini i Claretta Petacci schodzą szybko z góry wąską ścieżką. Idąc Claretta zrobiła bukiecik z trawy górskiej. Po przejściu około 200 metrów znaleźli się na małej polanie, kształtem przypominającej trójkąt. Znajdował się na niej samochód zabrany z Dongo. Obok stali „X" i „Riccardo" z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi kalibru 9 mm. Gdy grupka znalazła się na skraju polany, zbliżyli się do niej. „Neri" i Moretti odsunęli się na bok, zaś „X" i „Riccardo" polecili Mussoliniemu i Clarze odejść kilka kroków naprzód. W chwilę później powietrze przeszył świst kul.

„X" i „Riccardo" strzelali z dwóch kierunków, z lewej i prawej strony polany. Mussolini osunął się na murawę bez wydania jęku. Odnośnie śmierci Claretty istnieją pewne niejasności. Jedna wersja podaje, że Claretta została trafiona na początku w prawą kość jarzmową. Chciano ją w ten sposób oddalić od Mussoliniego, który zginął jako pierwszy. Petacci chwieje się i pada wciąż trzymając w ręku bukiet kwiatów, zerwanych podczas drogi na miejsce egzekucji. W chwilę później ona również została rozstrzelana.

Oba trupy zostają z pewnym trudem zaciągnięte do samochodu, stojącego w odległości kilkudziesięciu metrów, a następnie przewieziono je do garażu, który był własnością jednego z lokalnych działaczy partyjnych, współpracującego z partyzantami. (W samochodzie trupa Mussoliniego umieszczono w pozycji siedzącej, zaś Clarettę położono na jego nogach). Czas naglił, toteż należało teraz szybko działać.

„X" odjeżdża w kierunku Mediolanu. Pozostali wracają do Dongo, które osiągają w 10 minut po niczego nieświadomego „Valerio". Kilka chwil później „Valerio" przeżywa kolejne zaskoczenie w tym burzliwym dlań dniu. Oto ktoś z powracających z ekspedycji w Giulino di Mezzegra — może „Guido", a może „Riccardo" — opowiada mu, co się stało. Wyłania się przed nim nowy problem. Zginął nie tylko Mussolini, ale również Clara Petacci. W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak skazać ją na śmierć post factum.

Cała sprawa wymaga ścisłego współdziałania z pułkownikiem „Valerio". Toteż, gdy „Pedro" (Bellini) przestawił mu listę więźniów „Valerio" zaczął na niej kreślić czarne krzyżyki przy niektórych nazwiskach, krzycząc w gniewie: „Mussolini — na śmierć, Claretta Petacci — na śmierć". Zdumiony i zaskoczony tym „Pedro" zaczął oponować, pytając, dlaczego należy rozstrzelać Clarę Petacci. Odpowiedzi jednakże nie otrzymał, nie znał bowiem całej prawdy. Nie wiedział również, że w tym momencie „Valerio" realizował już nowy, jak się później okaże, zaskakujący plan dalszego działania. Jaki to był plan i jak go zrealizowano — za tydzień.

ANDRZEJ BLAJER

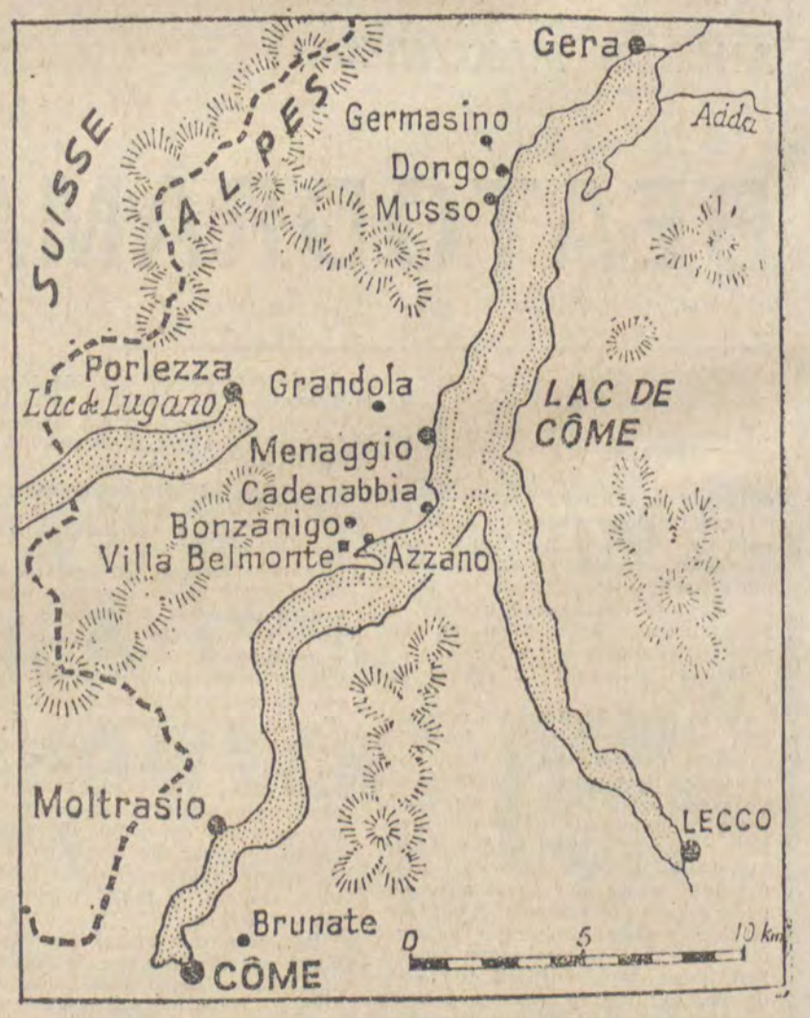

Rejon, w którym Mussolini spędził swoje ostatnie dni przed uwięzieniem i rozstrzelaniem przez włoskich partyzantów.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Niebezpieczny zawód górnika, będący ciągłą walką z przyrodą, wyrobił w swoich reprezentantach wyjątkowe i niespotykane poczucie solidarności i ofiarności w pracy. Żywą personifikacją tych cech stał się Wincenty Pstrowski, prosty górnik, który unieśmiertelnił swe imię nie na kartach literatury, ale historii polskiego narodu.

Z ziemią zagłębiowską i śląską zrosły się jego losy. Przyszedł na świat 28 maja 1904 roku w Zagórzu, osadzie rozciągającej się między Sosnowcem a Dąbrową Górniczą. Jego ojciec pracował w pobliskim folwarku jako zwykły wyrobnik. Zmarł, gdy mały Wincenty liczył zaledwie cztery lata. Stąd też przyszły twórca socjalistycznego współzawodnictwa pracy w swojej ojczyźnie od dziecka znał poniżający smak nędzy, tułając się po majątkach rolnych w poszukiwaniu czasowego zatrudnienia.

WINCENTY PSTROWSKI

Fot. Archiwum

Do rodzinnych stron powrócił w 1928 roku, ale po raz pierwszy zjechał z kolegami do szybu kopalnianego w cztery lata później. Wówczas znalazł pracę w kopalni „Mortimer" w Zagórzu k/Dąbrowy Górniczej. Zagłębie wywarło na nim po latach głębokie wrażenie, stając się polem nie tylko nowej pracy, ale także terenem, dzięki któremu wiele zrozumiał. Na „Mortimerze" włączył się w żywy nurt akcji strajkowej wymierzonej ostrzami w stronę przedstawicieli obcych monopoli, realizujących politykę rabunkowej eksploatacji naszych zasobów węglowych. Współorganizował słynny strajk okupacyjny w swojej kopalni, gdy zapadła decyzja wstrzymania wydobycia węgla w dniach kryzysu z 1932 roku.

W 1937 roku opuszcza Zagłębie i wraz z żoną i trojgiem dzieci wędruje za chlebem do Belgii. W osadzie górniczej Mons zatrzymuje się na stałe, bowiem w tamtejszej kopalni otrzymał stanowisko rębacza. W ten sposób otworzył w swojej księdze życia nowy rozdział znaczony dziewięcioletnią harówką na obcej ziemi a w dodatku wielce niebezpieczną. W kopalni „Mons" tkwiło ciągle zarzewie wybuchu ze względu na występowanie wysokiego stężenia gazów, a na domiar złego jej pokłady były tak niskie, że niejednokrotnie górnicy pracowali w pozycji leżącej.

W czasie wojny zapisał się do Komunistycznej Partii Belgii i Związku Patriotów Polskich. Wraz ze swoim starszym synem, Feliksem, zasilił szeregi belgijskiego Ruchu Oporu.

Nadszedł maj 1946 roku. Na apel rządu polskiego Wincenty Pstrowski wraz z rodziną i licznymi towarzyszami niedoli powraca „jak żurawie z odległych stron" do rodzinnej ziemi. We wspomnieniach przyjaciół utrwalił się wizerunek górnika z Zagórza, który na peronie w Mons idąc do wagonu wołał do opieszałych i niezdecydowanych towarzyszy:

„Mamy tylko jedno zadanie, wziąć się kupą do pracy i budować własny dom!"

Po przyjeździe do kraju włączył się w wartki prąd życia górniczego, pracując w kopalni „Jadwiga" w Biskupicach k/Zabrza. Stamtąd też padły w upalny, wakacyjny dzień 27 lipca 1947 roku pamiętne słowa apelu pisane wprawdzie niskładnymi literami, ale lapidarnie i twardo zredagowane. Pstrowski adresował je wprost do szerokiego grona braci górniczej:

„...Wróciłem do ojczyzny po dziesięcioletniej tułaczce za kawałkiem chleba u obcych. Wróciłem do niej, aby się przyczynić do jej odbudowy po tak straszliwych zniszczeniach wojennych. Wiem, że ta Polska jest nową Polską, sprawiedliwą dla robotnika i chłopa, że ona jest Polską, w której gospodarzem jest naród.

Od maja pracuję jako rębacz na kopalni „Jadwiga" w Zabrzu. W lutym wykonałem normę 240% wyrąbując 72,5 metra chodnika. W kwietniu wykonałem normę 273% wyrąbując 85 metrów a w maju dałem 270% normy, wyrąbując 78 metrów chodnika. Pracuję w chodniku o 2 metrach wysokości a 2,3 szerokości. Wzywam do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy z innych kopalń".

Celne słowa apelu nie padły w próżnię, ale wywołały żywe reperkusje w świecie pracy i zainicjowały proces rozszerzany w lawinowym tempie wśród szeregów pracowniczych wszystkich działów przemysłowych. W ciągu kilku miesięcy narodził się żywy proces współzawodnictwa pracy, rozpłomieniony zrywem górnika z zabrzańskiej kopalni. Nic też dziwnego, że wezwanie Pstrowskiego odnalazło natychmiastowy odzew wśród śląskich rębaczy. Najpierw odezwali się towarzysze pracy, twórcy idei współzawodnictwa a przede wszystkim **Alfons Tiehl, Paweł Scibik, Karol Koszyk i Teodor Cichoń.** Za jego przykładem poszli z wielkim entuzjazmem dla zwielokrotnienia trudu górniczego bracia **Bernard i Rudolf Bugdołowie, Józef Apryas, Wiktor Markiefka, Jan Zieliński** i tylu innych.

Wincenty Pstrowski należał również do ścisłego kręgu pierwszych racjonalizatorów pracy w kopalnictwie, próbując w stopniu najwyższym usprawnić technikę wydobywczą. Jednakże nie lubił rozgłosu wokół swoich pomysłów, toteż opędzał się od reporterów mówiąc,:

„Nie ma tu u mnie żadnych tajemnic a jedynie staram się jak najbardziej wykorzystać czas pracy".

Zupełnie nieoczekiwanie przyszło mu oddalić się od huku wybuchających ładunków i łoskotu spadających brył węgla. Rozwinęła się tajemnicza choroba, podcinając siły pierwszego przodownika pracy a następnie położyła kres jego niezoyt długiego, pracowitego życia. Nie pomógł ratunek ze strony najwybitniejszego grona lekarzy, starających się za wszelką cenę odmienić wyrok złego, nieubłaganego losu. Niestety, nieuleczalna postać schorzenia nowotworowego jaką jest białaczka szpikowa, przekreśliła wysiłki kliniki krakowskiej a przede wszystkim profesora Tempki i ówczesnego doc. Juliana Aleksandrowicza, zdmuchując tlącą się już z ledwością iskrę życia bohatera polskiego górnictwa 18 kwietnia 1948 roku.

Wrażenie spowodowane jego zgonem było ogromne, wywołując nie tylko w masach robotniczych głębokie uczucie żalu. Wincenty Pstrowski przetrwał jednak w swoim dziele i w milionach serc górników, hutników, włókniarzy i reprezentantów wszystkich innych dziedzin wytwórczości. Ten fakt potwierdził list braci Bugdołów skierowany do górników w żałobnych dniach kwietniowych 1948 r.:

„Dla nas, przodowników pracy, był on symbolem ofiarności, wychowawcą i nauczycielem. Z jego strudzonych rąk przejąć musimy rewolucyjny sztandar nowego ruchu, ruchu współzawodnictwa. Sztandar ten musimy i będziemy dźwigać dalej. Testament Pstrowskiego jest krótki: Polska i Socjalizm.

Pstrowski (...) krzepił nas prostym, górniczym słowem i przykładem swej ofiarnej pracy. Jego współzawodnictwo odegrało wielką rolę dla sprawy jedności organizacyjnej ruchu robotniczego w Polsce. Tu nastąpiło zbliżenie PPR-owców z PPS-owcami. Za ich przykładem szli bezpartyjni, odczuwając wspólną więź z masami zorganizowanych i uświadomionych robotników".

Jednakże inicjator współzawodnictwa pracy nie całkiem odszedł. I nie tylko dlatego, że zgłoski składające się na jego nazwisko zdobią gmach Politechniki Śląskiej i kadłub rudowęglowca, widnieją na bramie wjazdowej do kopalni, w której pracował a także na tablicach licznych ulic i placów naszych miast. Jeden z pierwszych budowniczych Polski Ludowej był ożywczym natchnieniem do wzmocnienia wysiłków w tworzeniu nowych, socjalistycznych wartości, orientujących się na wznoszenie silnego i trwałego gmachu naszej państwowości. Stąd też śmierć Wincentego Pstrowskiego nie gasiła płomienia idei, którą propagował, ponieważ **„samo jego nazwisko ma coś z mobilizującej mocy i siły"**, jak stwierdził min. Bolesław Rumiński, żegnając bohatera pracy socjalistycznej w imieniu centralnych władz państwowych.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

Jest rzeczą naturalną, że w okresie obchodów 30-lecia PRL sięga się do przeszłości, chcąc pokazać tych, którzy swoją pracą budowali zręby naszej przeszłości i teraźniejszości. Jednym z takich ludzi był **WINCENTY PSTROWSKI** — przodownik pracy, inicjator współzawodnictwa pracy wśród górników. Takich jak on było więcej, stali się legendą naszej najnowszej historii. Ich nazwiskami obdarza się ulice, statki handlowe, szkoły. Ale nie zawsze powinni być legendą. Powinni być przede wszystkim prawdą naszej przeszłości.

Publikowany powyżej artykuł o **WINCENTYM PSTROWSKIM** ukazuje jego postać w sposób syntetyczny, bardziej akcentując moralne i polityczne skutki jego życia i działalności, niż pokazując, jakim człowiekiem był ów górnik z Zabrza, który urodził się chłopem, a swoją edukację życiową i polityczną zdobywał w biedaszybach, podczas strajków i na emigracji.

Niedawno **„Trybuna Ludu"** opublikowała obszerną opowieść **Janusza Roszki**, zatytułowaną wymownie: **„PRAWDA O GÓRNIKU PSTROWSKIM"**, w której autor nie bał się cytować wierszyków w rodzaju: „Chcesz się udać na sąd boski — pracuj tak jak górnik Pstrowski", jak i nie zawahał się przed trudami wyjaśnienia tego wszystkiego, co ukrywała legenda, a co z człowieka czyniło już tylko symbol.

Przede wszystkim Janusz Roszko wyjaśnił, że choć w różnych dokumentach i opracowaniach, nawet tych powołujących się na wypowiedź samego Pstrowskiego, podawano różne daty i miejsca urodzin, to rzeczywiście **Wincenty Pstrowski urodził się 28 maja 1904 roku o godzinie 10 rano w DESZNIE pow. jędrzejowskiego.**

Z pozoru niby drobiazg: pomyłki w dacie urodzenia, błędnie podana miejscowość — powstałe być może w pośpiechu, kiedy trzeba było z potrzeby chwili rysować postać człowieka, który miał być wzorcem dla innych. Wartko toczące się życie odsuwało na plan dalszy jednych bohaterów, wydobywało na światło dzienne innych. W istocie jednak są to sprawy ważne, gdyż dotyczą naszej przeszłości, nam najbliższej, są częścią składową naszej współczesności, której nie można wyobrazić sobie bez trudu bohaterów pracy z różnych dziedzin wytwarzania: górników, stoczniowców, włókniarzy, kolejarzy: **Wincentego Pstrowskiego, Stanisława Sołdka, Wandy Gościmińskiej** czy **Franciszka Aprysa.**

Wincenty Pstrowski budził zachwyt i szacunek, ale też niechęć i wrogość. Kiedy przodujący górnik był w Łodzi na przysiędze wojskowej u syna Feliksa, zaproszono go do dwóch łódzkich fabryk i stał na trybunie, odbierając defiladę wojskową. Ale też opowiadano o nim złośliwe dowcipy, mówiono, że na jego rekordy składa się praca innych — pomocników. Mówiono, że górnicy rozzłoszczeni ciągłym śrubowaniem normy przez Pstrowskiego, napadli go, pobili, zmasakrowali.

Janusz Roszko chciał i ten fakt wyjaśnić. Rozmawiał z ludźmi, którzy znali i pracowali z Pstrowskim, z jego rodziną, z żoną, która mieszka przy kopalni „Wincenty Pstrowski" w Zabrzu, z synem — Feliksem Pstrowskim, z tymi, którzy z nim razem byli na emigracji, pracowali w Zagórzu czy Zabrzu. Nie dotarł do historii choroby Wincentego Pstrowskiego, gdyż zgodnie z obowiązującymi przepisami co 10 lat pali się szpitalne dokumenty. Prof. Tempka i doc. Kubiczek już nie żyją. Jedynie na podstawie relacji prof. Juliana Aleksandrowicza udało się ustalić przebieg choroby i leczenia. Była to białaczka. I mimo, że takie rozpoznanie równało się wyrokowi śmierci, sprowadzono z Paryża prof. Jeana Bernarda i prof. Hirszfelda z Wrocławia. Prawie 60 żołnierzy oddało swoją krew dla Pstrowskiego, wymieniono mu krew, ale bez rezultatu. Wincenty Pstrowski zmarł 18 kwietnia 1948 roku w klinice w Krakowie.

Można rysować postacie bohaterów naszych czasów grubą kreską patosu, można — jak to mówił Włodzimierz Majakowski — kroić im portki ze spiżu. Można, tylko więcej pożytku dla potomnych przyniesie pokazywanie ludzi takimi, jak byli. Dla mnie w relacji Janusza Roszki najistotniejsze jest to, kim stali się ludzie, którzy choć przez jakiś czas byli pod wpływem Pstrowskiego.

BERNARD BUGDOŁ — współzawodniczył z Pstrowskim: — **„...i w 1949 roku byłem już najmłodszym w Polsce dyrektorem kopalni."**

STANISŁAW POPIELARCZYK — ładowacz Pstrowskiego: **„Wysłali mnie na kurs rębaczy... Robiłem ponad 250 procent normy. Bo powiedział mi Wicek jeszcze przed umarciem: „Pamiętaj, żebyś był taki jak ja, żebyś się nigdy nie dał pobić!".**

FRANCISZEK BEJCZUK — ładowacz Pstrowskiego z okresu poprzedzającego wyścig pracy: — **„mówił mi żebym został zmianowym. To i zostałem zmianowym i jeszcze przez 13 lat pracowałem na kopalni jego imienia..."**

MARCIN RODAK

---

oko na gospodarkę

KOCHAJMY MERKUREGO

Jest w tym coś paradoksalnego. Otóż, przeciętny Polak przebywając poza granicami kraju bezwiednie szuka jego obecności pod postacią bandery, reklamy czy też konkretnych produktów z napisem „Made in Poland", a kiedy na coś takiego natrafi — co nie jest znowu takim fenomenem — nie okazując tego obcym nacjom, w gruncie rzeczy pęcznieje z dumy, w skrytości ducha mówiąc sobie: **„Albośmy to jacy tacy!".**

Tak dzieje się jednak w szczególnych — bo znowu wyjazd za granicę nie można zaliczać do codzienności — przypadkach, natomiast u siebie w domu, kiedy pada słowo e k s p o r t bardzo często skłonni jesteśmy przybierać zgoła odmienną podstawę, którą — ostrożnie mówiąc — nazwałbym obronną. Na ogół daje się ona sprowadzić do dosyć typowego pytania: czy musimy t o eksportować, kiedy t e g o nie mamy jeszcze za wiele u siebie „w domu".

W taki to sposób można też zaprezentować problem o wielkim znaczeniu gospodarczym i równie poważnych implikacjach społecznych. Wart też jest nie tylko powierzchownej, przelotnej uwagi, ale rzeczywistej znajomości, chciałoby się powiedzieć — stałej obecności w świadomości społecznej. Jeśli tak jest, to warto zatrzymać się nieco nad miejscem i rolą tej dziedziny naszego życia gospodarczego.

Handel zagraniczny — jak to stwierdza w swojej książce*) **Zdzisław Rurarz** — nie istnieje sam w sobie. Wysokość jego obrotów, ich struktura towarowa oraz tempo jego ekspansji zależą od poziomu rozwoju gospodarczego kraju, jego potencjału ekonomicznego i polityki gospodarczej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Ten sam autor pisze dalej, iż rozwój gospodarczy, najogólniej rzecz biorąc, wymaga przede wszystkim uruchomienia możliwie wszystkich wewnętrznych rezerw wzrostu. Należą do nich: podniesienie stopy akumulacji i wynikające stąd zwiększenie inwestycji rzeczowych, wykorzystanie wszelkich wolnych mocy produkcyjnych, wzrost zatrudnienia, wprowadzanie reżimu oszczędności, podniesienie sprawności organizacyjnej wszystkich jednostek gospodarczych, szkolenie masowe na wszystkich szczeblach dla podnoszenia wydajności pracy, uruchomienie masowej inicjatywy wynalazczej, wdrożenie postępu technicznego w najważniejszych dla rozwoju gospodarczego dziedzinach, uruchamianie produkcji antyimportowej dla wygospodarowania większej ilości dewiz na najbardziej celowy import.

W zależności od wielkości kraju, jego zasobów naturalnych i sytuacji w świecie można łatwiej lub trudniej uruchamiać wewnętrzne źródła wzrostu. W procesie każdego rozwoju gospodarczego, a szczególnie rozwoju przyśpieszonego nie można pominąć międzynarodowego handlu, który stanowi integralną część gospodarki krajowej. Nie ma dziś w świecie kraju, który mógłby bez handlu zagranicznego normalnie funkcjonować, niezależnie od tego, czy to będzie kraj słabo, czy wysoko rozwinięty. W kraju słabo rozwiniętym, nawet przy zwiększeniu akumulacji, może nie nastąpić przyśpieszenie tempa wzrostu gospodarczego, gdyż akumulacja może nie w pełni przyjąć rzeczową postać inwestycji, ze względu na konieczność importu potrzebnych urządzeń. Import taki, jeśli kraj nie korzysta z pomocy obcej, może mieć miejsce tylko w razie zwiększenia eksportu. Ten ostatni natomiast sam musi przybrać postać rzeczową towaru. Innymi słowy, gospodarka taka powinna rozporządzać pewnymi nadwyżkami towarowymi, nawet jeśli nadwyżki te byłyby sztuczne i oznaczały bądź redukcję konsumpcji wewnętrznej, względnie zahamowanie jej wzrostu.

Jednakże i takie wygospodarowanie nadwyżek towarowych na eksport nie oznacza jeszcze, że eksport pojawi się automatycznie. Tutaj dopiero bowiem gospodarka krajowa staje w obliczu gospodarki światowej, rynku światowego, który rządzi się swoimi prawami, pozostającymi często w całkowitym przeciwieństwie do interesów tej czy innej gospodarki krajowej. Nadwyżka towarowa wygospodarowana przez jakiś kraj może nie być nadwyżką albo ściślej mówiąc towarem, w obliczu konfrontacji z rynkiem światowym. Popyt światowy na taką nadwyżkę może w ogóle nie istnieć albo być znacznie mniejszy, niż wynosi nadwyżka. Wreszcie popyt może być zmienny, utrudniając dodatkowo realizację nadwyżki.

Wszystkie te ogólnej natury uwagi o roli i skomplikowanym mechanizmie, którym rządzi się handel zagraniczny, odnoszą się w całej pełni do ekonomiki naszego kraju, stawiającego sobie za cel coraz szybsze tempo rozwoju społeczno-gospodarczego, ale równocześnie powiązanego w tym działaniu z tendencjami występującymi w gospodarce, na rynkach światowych.

Tutaj należy sobie uzmysłowić stan faktyczny, jak i odpowiedzieć na pytanie: co dalej?

Jest dla każdego z nas zrozumiałą racją, że od przeszło trzech lat nasz handel zagraniczny odgrywa ważną rolę w tworzeniu warunków szybszego rozwoju kraju i jednocześnie podnoszenia poziomu życia społeczeństwa.

Jest faktem bezspornym, iż szersze włączenie naszej gospodarki w orbitę wymiany międzynarodowej stało się jednym z głównych czynników unowocześnienia krajowego potencjału wytwórczego, zwiększenia ilości potrzebnych surowców, a także czynnikiem zapewnienia równowagi rynkowej. Legitymujemy się tutaj niezłymi rezultatami, bowiem w ciągu trzech minionych lat zdołaliśmy dwukrotnie zwiększyć tempo wzrostu obrotów z zagranicą — w porównaniu do ubiegłego pięciolecia. W liczbach wyglądało to tak: jeśli roczny wzrost dochodu narodowego w latach 1971—73 wynosił przeciętnie około 9 proc., a produkcji przemysłowej — około 11 proc., rocznie, to eksport powiększał się w tym samym czasie, przeciętnie każdego roku o 14,5 proc., natomiast import o 21 proc.

Oczywiście, od razu zauważalna jest tutaj przewaga importu nad eksportem. Dlatego też trzeba szybko dodać, iż jest to świadomie przyjęta tendencja, oparta m. in. o politykę kredytową, a mającą zapewnić właśnie poprzez zwiększony import, większy dopływ krajowemu rynkowi towarów konsumpcyjnych, a nade wszystko — na zasadzie co najmniej równości — zastrzyk nowoczesnych maszyn, urządzeń, technologii, licencji, bez czego nie można by było nawet myśleć o s z y b k i m opanowaniu produkcji bardzo wielu nowoczesnych wyrobów, podnoszeniu jakości naszych towarów, a nawet — poprzez dostawę zbóż i pasz — rozwoju hodowli. Można ten proces uogólnić w takim stwierdzeniu: dzięki wymianie z zagranicą nastąpiło zwiększenie krajowego potencjału produkcyjnego, zwłaszcza w dziedzinach szczególnie opóźnionych bądź też będących nośnikami postępu technicznego.

Trudno sobie wyobrazić, by taka tendencja znacznej przewagi importu nad eksportem mogła być traktowana jako coś stałego, tym bardziej, że na światowych rynkach, z którymi jesteśmy przecież powiązani, zachodzą ostatnio bardzo skomplikowane procesy — że wymienimy tylko kryzys surowcowy i energetyczny, które mają swoje konsekwencje cenowe czy też perturbacje walutowe — nad którymi nie możemy przechodzić również w handlu zagranicznym do porządku dziennego. Na odbytej przed kilkoma dniami naradzie krajowego aktywu gospodarczego, premier Piotr Jaroszewicz stwierdził m. in.:

„Musimy wyjątkowo aktywnie kształtować naszą politykę w handlu zagranicznym. W tej sferze trzeba zrobić o wiele więcej, uzyskać znacznie lepsze efekty niż te, o których mówiliśmy na I Krajowej Konferencji PZPR i w debacie sejmowej nad planem. Handel zagraniczny musi rozwinąć aktywny i ekspansywny, a jednocześnie elastyczny styl działania, rozszerzać korzystne z punktu widzenia cen i lokalizacji biograficznej rynki zbytu, wydatnie zwiększać operatywność, odważniej reagować na nowe zjawiska na rynkach towarowych i rynku walutowym. Zasadniczym warunkiem działania jest zwiększenie ilościowego, a szczególnie wartościowego wolumenu eksportu przy jednoczesnej poprawie jego opłacalności".

Jest to oczywiście ogólna wytyczna, ale bardzo szczegółowo precyzuje ona kierunki naszego działania w dziedzinie międzynarodowej wymiany, uwzględniając nowe potrzeby naszej gospodarki wynikające tak z polityki naszego rozwoju poprzez inwestycje, jak i stałą tendencję do polepszania warunków egzystencji materialnej społeczeństwa poprzez lepsze zaopatrzenie rynku krajowego. W tym przypadku mamy tutaj do czynienia ze swoistym naczyniem połączonym, jako że lepsze efekty w dziedzinie eksportu — tak pod względem ilości, jak i pod względem jego wartości, warunkują dalsze unowocześnienie i rozwijanie naszego potencjału przemysłowego, a z drugiej strony stwarzają dodatkowe szanse dopływu niestety coraz droższych surowców, dostarczania na rynek poszukiwanych przez potencjalnych nabywców towarów konsumpcyjnych.

Ową zależność i wszelkie z niej wynikające problemy musimy sobie uświadomić, by pojęcie eksport nie nosiło w sobie owego ziarnka niepokoju, że to coś co sprzedajemy na rynki zagraniczne bezpośrednio uszczupla zasobność naszego rynku krajowego. Wypada i nam, społeczeństwu kraju rozwiniętego pod względem gospodarczym, ale szukającego dalszych dróg dynamizacji ekonomiki, pokochać tę trudną dziedzinę, jaką jest eksport, zrozumieć, że jest ona nam potrzebna, jak tlen i woda.

KRZYSZTOF POGORZELEC

*) **Zdzisław Rurarz: „Handel zagraniczny", cykl: „Problemy — Perspektywy".**

GEORGES SIMENON

WIĘZIENIE

16

Tłumaczył R. WYSOCKI

— Czy mój szwagier wie o wszystkim?

— To nie pora, żeby z nim o tym mówić. Czyż pogrzeb nie odbędzie się jutro rano?

— Rozumiem.

— Poza tym to nie do mnie należy. Jeżeli mecenas Rabut uzna za stosowne poinformuje go zręcznie...

— Powiedział mu pan o wszystkim?

— Tak.

— To on radził zaprosić mnie tutaj?

— I tak byłbym to zrobił. Reporterzy rzucili się na wszystkie możliwe tropy. Na ulicy Longchamp byli przed nami i jeden z tygodników tego samego pokroju, co ten, o którym pan przed chwilą wspomniał pisze dziś o tym.

— Bour nie jest nawet facetem, któremu można skuć mordę.

— Mam o nim kilka innych informacji. Jego nazwisko obiło mi się o uszy. Byłem w tej sprawie u kolegi z obyczajówki, który parę lat temu miał do czynienia z Bourem.

— Miał sprawę?

— Nie. Zabrakło dowodów. Przed chwilą wymienił pan nazwisko, Aleks Manogue. Chcę sprostować, że jego nazwisko pisze się przez ck na końcu; Manock. Obyczajówka przez długi czas miała na niego oko w związku z aferą zdjęć pornograficznych. Manock został wzięty pod obserwację. Wielokrotnie spotykał się z Julianem Bourem, zawsze w kolejkach lub w barach. Bour był zapewne operatorem, ale rewizja przy ulicy Montmartre nie doprowadziła do znalezienia błon.

Nie wiem, czy nadal tym się zajmują. To nie mój dział i to nic nie zmienia w naszej sprawie. Mój kolega jest przekonany, że chodzi tu nie tylko o zdjęcia, ale także o filmy.

— Nie sądzi pan, że fotografował moją żonę?

— Nie przypuszczam, panie Poitaud. Pierwszym moim zamiarem było pójść tam i rzucić okiem na zapas zdjęć. Ale w obecnym stanie rzeczy groziło to wywołaniem poruszenia. Rzadko tylko przechodzimy niezauważeni, zwłaszcza w sytuacji gdy cała prasa depce nam po piętach.

— Bour! — powtórzył Alain, utkwiwszy wzrok w podłodze.

— Gdyby pan był na moim miejscu, przez dwadzieścia lat, nie byłby pan zaskoczony. Kobietom potrzeba niekiedy istoty słabszej od nich, albo takiej, którą uważają za słabszą, mężczyzny, którego im żal.

— Znam tę teorię — przerwał zniecierpliwiony Alain.

— Proszę mi wierzyć, że sprawdza się ona w praktyce.

Zrozumiał to znacznie wcześniej od komisarza i właśnie dlatego stał się taki pewny.

Teraz dosyć mu było tego, czego się dowiedział. Ogarnął go pośpiech, chciał wyjść:

— Przyrzeka mi pan...

— Że nie zamorduję Boura. Nawet nie dam mu po gębie. Zastanawiam się nawet, czy go wylać, bo to nasz najlepszy fotograf. Widzi pan, że nie ma się czego obawiać. Dziękuję panu za informację. Rabut uzyska dla niej wyrok uniewinniający. Będą oboje szczęśliwi i będą mieli dużo dzieci.

Poszedł w kierunku wyjścia, zatrzymał się po drodze, zrobił w tył zwrot, by podać rękę komisarzowi.

— Przepraszam pana. Zapomniałem. Zobaczymy się któregoś dnia. Będzie pan pewnie miał znowu dla mnie jakieś nowiny.

Przechodząc zaś koło starego woźnego w srebrnym łańcuchu, pozwolił sobie na luksus rzucić:

— Dobranoc, mój króliku.

ROZDZIAŁ VII

Omijał redakcję, nie miał ochoty „ich" widzieć. Być może chciał udowodnić przed sobą samym, że nie potrzebował ani ich, ani nikogo. Siedząc za kierownicą swego małego czerwonego auta, jechał prosto przed siebie i znalazł się w lasku Bulońskim, gdzie kręcił się w kółko, bez celu, bez konkretnych myśli.

Czekał i chciał, żeby mijał czas, nic więcej. Przyglądał się drzewom, zeschniętym liściom, dwóm konnym, którzy jechali truchtem, gawędząc.

W niewielkim odstępie czasu, w zbyt niewielkim, poznał wiele nieprzyjemnych prawd, które musiał powoli przetrawić.

Nie odczuwał potrzeby picia. Jeżeli zatrzymał się w jakimś nieznanym barze, w pobliżu bramy Dauphine, to tylko dlatego, żeby nie zmieniać na raz przyzwyczajeń. Przyglądał się innym, którzy pili i zadawał sobie pytanie, czy mają oni te same problemy.

Niezupełnie te same. To, co się przytrafiło jemu, było dość wyjątkowe. Ale sama istota rzeczy nie była chyba tak bardzo odmienna w wypadku tego czy innego człowieka.

Oczy innych, tak jak i jego, były utkwione w próżni. Co tam widzieli? Czego szukali?

— Zdaje mi się, że pana znam — mruknął koło niego dość gruby facet o przekrwionej twarzy, który już za dużo wypił.

— Na pewno nie — odpalił sucho.

Ustalił na dziś swoją linię postępowania i stać go było na to, aby ją utrzymać. Kolację zjadł sam, w restauracji, której nie znał, przy ulicy Ternes. Była to restauracja obliczona na stałych stołowników, każdy miał przegródkę z jasnego drzewa na swoją serwetkę.

Nie czuł głodu, jadł jednak, najpierw zupę, potem kiełbaski z rusztu z frytkami. Patron obserwował go z daleka. Szczęściem na zdjęciach w gazetach, nie był bardzo do siebie podobny.

Ludzie najpierw marszczyli brwi, następnie przyglądali mu się trochę dłużej, w końcu wzruszali ramionami, mówiąc sobie, że to pomyłka.

Wszedł do jakiegoś kina na Polach Elizejskich i bileterka wskazała mu miejsce. Nie znał tytułu filmu. Rozpoznał aktorów amerykańskich, ale akcji nie śledził.

Wciąż wierny swojemu planowi, zabijał jedną godzinę po drugiej. Następnie wrócił do domu, wsiadł do windy, wyjął klucz.

Wszędzie było pusto i ponuro. Mina nie ośmieliła się zostać na wieczór. Na pewno miała taki zamiar, ale bała się działać zbyt szybko.

Zapalił światła. Na tacy przygotowana była butelka, kieliszek i syfon.

Usiadł w fotelu i nalał sobie; czuł, że jest dalej od ludzi, niż kiedykolwiek w życiu, po oblaniu matury. Prawie taka sama reakcja wystąpiła. Pamiętał to. Stał na balkonie, w mieszkaniu na placu Clichy i patrzył na budzące się życie nocne.

Czy te małe, czarne sylwetki, poruszające się na bruku, naprawdę wiedzą, dokąd zdążają? Omal nie wrócił do swojego pokoju by próbować splodzić wiersz.

Poczucie śmieszności znowu zaczynało brać górę. Szukał wyjść, które otwierały się przed nim i nie mógł znaleźć takiego, które by go zadowoliło.

Ileż to razy stawiano mu pytanie, kiedy był dzieckiem czy też chłopcem:

— Co chcesz robić później?

Jak gdyby to zależało od niego! Będąc bardzo młodym, miał już wrażenie, że jego przyszłość zależy od przypadku, od spotkania, od zdania usłyszanego w przejściu. Nie będzie brał w skórę, to wszystko. Nie zabrnie, jak i go ojciec, w prościutki korytarz, by zmarnować życie na dreptaniu po to, by nic u jego kresu nie znaleźć.

Pamiętał wszystkie szczegóły. Rodzice, w jadalni, musieli mówić o nim, gdyż rozmawiali po cichu. Nie chcieli go obwiniać przypominaniem jego niepowodzenia.

— Na pewno nadrobi wszystko, stając do egzaminu w październiku.

Dwa samochody zderzyły się i naokoło zebrał się niewielki tłum. Mrówki gestykulowały. Był to widok żałosny i groteskowy zarazem.

Istniało tylko jedno wyjście, jedyne, którym się nie entuzjazmował, ale które akceptował jako ostateczność. Wstąpi na ochotnika do wojska.

Nie słyszał wokół siebie żadnego szmeru i podskoczył, kiedy w kącie studia trzasnęła boazeria.

Nie wolno mu teraz wychodzić. Tak jak nie opuścił balkonu, zanim nie podjął decyzji.

— Nie wracasz? — zapytał ojciec który wszedł na balkon.

— Nie.

— Nie zimno ci?

— Nie.

— Dobranoc, synu.

— Dobranoc.

Potem przyszła z kolei matka, żeby życzyć mu dobrej nocy. Nie nalegała żeby wracał do pokoju. Oboje bali się trochę, wiedząc, że jest wrażliwy i że jakakolwiek niezręczność zamieni go w buntownika.

Nie zbuntował się. Był żołnierzem, jak inni. Można by to porównać z tym, co chrześcijanie nazywają rekolekcjami. Przygotowaniem. Nauczył się pić, ale z braku pieniędzy pił tylko raz na tydzień.

Popatrzył z ironią na butelkę. Zdawało się, że kpi sobie z niego, że rzuca mu wyzwanie. Wystarczyło sięgnąć po nią ręką, gest taki codzienny, że mógłby go wykonać, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Wstał, żeby popatrzeć na dachy, na sylwetkę Notre-Dame, odcinającą się dość wyraźnie na niebie, na kopułę Panteonu.

Bzdury!

Wszedł do sypialni, popatrzył na puste łóżko, zaczął się rozbierać. Nie chciało mu się spać. Nie miał ochoty na nic. Nie było żadnego określonego powodu, że jest raczej tutaj niż gdzie indziej. Przypadek. Kocur to był także przypadek. I Adrianna, którą ochrzcił Bébé. Dlaczego miał manię nadawać ludziom przydomki?

— Gówno! — rzucił głośno.

Powtórzył to słowo nieco później, czyszcząc zęby przed lustrem w łazience.

Bour musiał mieć pietra, czekać na jego wizytę. Kto wie? Być może, kupił rewolwer, żeby się bronić? Albo też w pośpiechu opuścił Paryż?

Uśmiechnął się ironicznie, włożył piżamę, pogasił światła, nie tknąwszy butelki.

— Dobranoc, stary...

Sam musiał sobie życzyć dobrej nocy, bo nie było nikogo, kto by to zrobił.

Nie zasnął od razu, leżał w ciemności bez ruchu, zabijał czas odpędzając nieprzyjemne myśli. A jednak sen musiał spaść nań w dość krótkim czasie, bo nagle posłyszał w studio szum odkurzacza.

Prześcieradła w nieładzie świadczyły, że sny miał niespokojne. Nie pamiętał, co mu się śniło, mimo że snów tych było wiele.

Wstał, wszedł do łazienki, wyczyścił zęby i uczesał się. Potem wszedł do studia, gdzie Mina włączyła odkurzacz.

— Już? To ja pana obudziłam?

— Nie.

— Zaraz zrobię kawy.

Wodził za nią oczami. Palce nie drżały mu, jak wczoraj. Głowa nie bolała. Nic, tylko uczucie pustki, nawet nie tak bardzo nieprzyjemne.

Było tak, jak gdyby jego samego nic nie dotyczyło, jak gdyby otrząsnął się z wszelkiej odpowiedzialności.

Właściwie z jakiej odpowiedzialności? Jakże człowiek mógłby być odpowiedzialnym za innego człowieka albo za żonę, albo nawet za dziecko?

Bzdura!

Słowo to nie należało do jego zwykłego repertuaru. Było nowe. Uważał, że jest niezłe. Spróbował go dwa czy trzy razy, przyglądając się, blademu jeszcze słońcu.

Mina przyniosła mu kawę i rogalik.

— Późno pan wrócił?

— Nie, mój króliku.

— I rzucając okiem w stronę sypialni dodał:

— Nie ma nikogo?

— Tylko my dwoje.

Zimnym wzrokiem mierzył szczegółowo jej sylwetkę. Nie podobna było zgadnąć, o czym myśli. Zdawało się, że był myślami bardzo odległy od rzeczywistości.

— Chce pan gazetę?

— Nie.

Stała przed nim, prężyła się, żeby podkreślić piersi. Miała na sobie jedynie nylonowy fartuch, narzucony na majtki i biustonosz.

Zastanawiał się, ważąc wszystkie za i przeciw. Najpierw zaczęła się uśmiechać obiecującym uśmiechem, następnie pewien zawód zmącił wyraz jej młodej, rumianej twarzy.

Nie zjadł rogalika, dokończył kawę, zapalił papierosa, poczęstował ją, potem podał ogień.

Uśmiechnęła się znowu. Stojąc patrzył na nią od góry do dołu, od dołu do góry. Kiedy wzrok utkwił w jej oczach, było w nim zawarte pytanie, które zrozumiała od razu, jak barman, który powinien napełnić kieliszki.

Zaśmiała się. Odpowiedź była zbyteczna.

— Woli pan, żebym się rozebrała.

— Wszystko mi jedno.

Położyła papierosa na popielniczce, ściągnęła przez głowę fartuch, podniosła nogę jedną, potem drugą, żeby zdjąć majtki. Wzgórek łonowy pokryty był jasnymi włosami, zaokrąglony, brzuch zachował jeszcze młodzieńczą gładkość.

— Dlaczego pan przygląda mi się w ten sposób?

— W jaki sposób przyglądam ci się?

— Można by powiedzieć że pan jest smutny.

— Nie.

Zdjęła biustonosz. Była naga. Imponował jej i nie bardzo wiedziała, co robić.

— Chodź — szepnął, zgasiwszy papierosa.

Powiedział to łagodnie, uprzejmie.

— Połóż się...

Powiedziałby ktoś, że kładzie ją do łóżka, żeby usnęła. Nie patrzył na nią, tak jak by jej pożądał, ale tak jak gdyby chciał utrwalić w pamięci obraz jej ciała.

— A pan... Ty nie idziesz?

Zdjął piżamę, wyciągnął się koło niej, ręka zaczęła błądzić po jej skórze.

Była zaskoczona. W jej pojęciu to wszystko nie tak powinno się było odbywać. Okazało się, że to zupełnie inny mężczyzna, niż ten którego widziała wczoraj.

— Od dawna zaczęłaś się kochać?

— Miałam czternaście lat.

— Był młody?

— To był mój wujek. — Zaśmiała się.

— Komiczne, co?

On się nie śmiał.

— Kiedy był to ostatni raz?

— Trzy tygodnie temu.

Przyciągnął ją ku sobie, żeby ją pocałować; pocałunek, długi i czuły, nie był przeznaczony specjalnie dla niej. Nie był też poświęcony Kocurowi, ani Adriannie, ani żadnej innej kobiecie.

— Jesteś smutny? — powtórzyła.

— Odpowiedziałem ci już, że nie.

— Masz smutną minę. Powiedziałby ktoś...

— Powiedziałby co?

Uśmiechnął się do niej.

— Nie wiem. Nic. Pocałuj mnie jeszcze. Nie byłam często całowana w ten sposób.

Miała cerę bardzo jasną. Nigdy nie widział kobiety o cerze równie jasnej. Była także delikatna. Pocałował ją. Jego ręka pieściła ją, ale duchem był daleko.

Wziął ją po raz pierwszy, wolno, czułymi gestami. On też nie poznawał sam siebie. Pieścił ją od głowy do stóp, rękami, ustami, a ona nie śmiała w to uwierzyć.

Pozostawali, złączeni tak, długo, a kiedy na nią patrzył, odnajdował w jej oczach to samo pytanie, pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć.

Kiedy się podniósł, od razu odwrócił głowę.

— Płaczesz?

— Nie.

— Nie często musisz płakać, co? Przepraszam, że mówię do ciebie ty. Za chwilę, kiedy założę fartuch, znowu zacznę do ciebie mówić pan. Nie nudzę cię?

— Nie.

— Mogę pójść do łazienki?

— Oczywiście.

Miała już zamknąć drzwi, kiedy wszedł za nią. Trochę zaskoczona, nie uchylała się przed jego wzrokiem. Był to inny rodzaj intymności, inne gesty, właściwe wszystkim kobietom.

— Wiesz, to pierwszy raz...

Wahała się, wciąż jeszcze oszołomiona. Wydawał jej się bardzo bliski i zarazem bardzo daleki.

— Co?

— W taki sposób... Tak... tak uczuciowo...

Dalszy ciąg nastąpi

BEATODRAMA

Dalszy ciąg ze str. 1

wkroczył teść. Nie! Telewizor ma zostać na swoim miejscu! Innych rzeczy: srebrnej zastawy, świeczników i waluty — niech lepiej też nie rusza! W ogóle umówmy się od dzisiaj, że jak będzie coś swojego chciał wynieść i sprzedać, to wystawi na to pokwitowanie.

Beatowiec żachnął się na to dictum, przeczuwając, że wdał się w niezłą aferę. Ledwo się ożenił, a ci już myślą o rozwodzie i „sprawiedliwym" podziale majątku. Trzeba uciekać! Żwawo zakrzątnął się wokół nowego mieszkania, na które w spółdzielni własnościowej nie czeka się znowu tak długo. Widząc, że jego starania zostaną uwieńczone sukcesem, żona i jej czcigodni rodzice zmienili nagle front: stali się mili, przypochlebni; nie obrzucali go już obelżywymi słowami i nie wspominali o rozwodzie; pozwolili mu nawet sprzedać telewizor.

Niewątpliwie kochał swoją żonę i trudno się dziwić, że wbrew ostrzeżeniom przyjaciół zameldował ją w nowym mieszkaniu. Ledwo to się stało, żonka znowu zaczęła mu grozić. Mniej więcej na trzydzieści dni w miesiącu, dwadzieścia pięć spędzał na wyjazdach, toteż powroty przynosiły mu wiele dręczących niespodzianek. Raz — wszechobecna teściowa, dwa — miłosne listy jakichś zalotników, trzy — tajemnicze paczki z zagranicy, cztery — słuchy, że jak go nie ma, to przystają pod oknami niekiepskie samochody...

Trzymał pod siennikiem trochę dolarów, patrzy, a tu połowy brak. Szlag go trafił, ale skoro tylko zaczął awanturę, żona powiada, że już go nie kocha i będą musieli się rozwieść. Jak się ma dwadzieścia pięć lat i szczere słowiańskie serduszko, to człowiek jest miękki. Beatowiec nie chciał rozwodu. Beatowiec ciągle wierzył, że wszystko się jakoś ułoży: żona dojrzeje, teściowa odzwyczai się od notorycznych wizyt, zalotnik z Francji przestanie nadsyłać miłosne listy.

Ucieszył się, kiedy któregoś popołudnia żonka wyciągnęła go po zakupy. Nabyli odkurzacz, żyrandol oraz kilka innych gospodarskich drobiazgów, ale jak następnego dnia otworzył skrzynkę na listy, wypadł z niej jak grom z jasnego nieba pozew rozwodowy.

— Nie godzę się na rozwód — powiedział beatowiec przed sądem. — Kocham moją żonę i chcę uratować nasz związek.

Dostali czas na pojednanie. Potem odbyła się druga sprawa i trzecia; ona obstawała przy rozwodzie domagając się wysokich alimentów, on, widząc jej kupieckie podejście do problemu, też skłaniał się do radykalnego rozwiązania, jednakże tylko wówczas, kiedy odbędzie się ono bez orzekania winy lub gdy winą obarczona zostanie jego połowica.

W międzyczasie, pomiędzy poszczególnymi rozprawami, ciągle jeszcze walczył rozpaczliwie o uratowanie małżeństwa. Wiedząc, jak wielki wpływ ma na żonę jej matka próbował się teściowej podlizać i dwukrotnie zafundował jej drogie zaiksowskie wczasy. Wiedząc, że żonie nie służy samotność i bezrobocie, a pracować to ta dziewczyna bardzo nie lubiła i nigdy nie próbowała, znowu zaczął ciągnąć ją z sobą po hotelach całego kraju. Wyjechała z nim także na koncerty do Związku Radzieckiego, NRD, Czechosłowacji i na Węgry, zbierając obfite żniwo w postaci prezentów. Do NRF wprawdzie nie mogła z nim pojechać, ale przywiózł jej stamtąd stoi to jak byk w aktach sprawy, materiał na sukienkę za 150 dolarów.

Wszystko, byle tylko nie nudziła się w domu, bo wówczas, wiadomo... marynarz ma dziewczynę w każdym porcie, ale żona marynarza też nie narzeka...

— Pan mógłby ją u siebie zatrudnić, dyrektorze! — zwrócił się do szefa placówki estradowej. — Pracowalibyśmy wtedy w jednym zespole.

— No, dobrze, ale co ona może? — zapytał dyrektor.

— Ja wiem? Może być konferansjerem.

— Przesadza pan — zdenerwował się dyrektor. Ale będąc człowiekiem życzliwym, zaproponował jej posadę garderobianej.

Pojeździła trochę w charakterze pracownika zespołu, w którym jej mąż był gwiazdą pierwszej wielkości, a potem znudziła jej się rola kopciuszka i wróciła do roli gospodyni domu.

Wedle zeznań beatowca, cechowała ją niezwykła przebiegłość. Jak się na ten przykład dorobiła jakiegoś siniaka, to hyc! biegła do lekarza żeby jej wystawił obdukcję i zaraz wpychała ten papier w jakąś szparę. Póki co, nie robiła z tego użytku, rozpuszczając jednakże wieści, że jej mąż to zwyrodnialec i weneryk.

Bank obdukcji powiększył się z latami do trzech: posiniaczenia, wstrząs mózgu, zadrapania. Wszystko to czekało na okazję we wspomnianej sprawie, a beatowiec nie miał o tym zielonego pojęcia.

3.

W listopadzie ubiegłego roku beatowiec wkroczył o północku do swojego mieszkania w towarzystwie kolegów z zespołu i ich żon. Jego własna żona i jej matka podniosły z tej przyczyny wielkie larum. Zaczęły padać wytworne wyzwiska na wiele liter alfabetu, potłukły się jakieś rzeczy, pękła szyba w oknie. Nietrudno się domyślić, że później, przed sądem, wydarzenie to znalazło odbicie w dwóch sprzecznych z sobą wersjach.

Żona beatowca i jej matka zeznały, że beatowiec odznaczał się tej nocy zwierzęcym okrucieństwem: bił, kopał i drapał, co w drobnej mierze zdawały się potwierdzać wyniki obdukcji oraz skrzętnie przechowywane zaświadczenia lekarskie sprzed lat, strona pozwanego natomiast i on sam lansowali tezę, jakoby wszystko to było starannie przygotowaną farsą: żona sama narobiła sobie siniaków, wybiła samowarem szybę i wyskoczyła z parteru na ulicę, żeby ściągnąć na siebie uwagę sąsiadów.

Żona zeznała ponadto, że na polecenie jej męża jeden z jego kolegów próbował zgwałcić ją w kuchni. Wywołało to wśród beatowców nieopisaną wesołość, która przeszła z czasem w szczere oburzenie: z tym gwałtem to taka sama heca jak z tym poronieniem, które rzekomo miało miejsce przed paroma miesiącami. Sąd nie bardzo chciał w to wierzyć, tym bardziej że strona „pokrzywdzona" wyraźnie plątała się w zeznaniach. Teść beatowca wspomniał najpierw, że obdukcja nastąpiła w parę godzin po tej szarpaninie, a potem, że w siedem dni, najpierw, że oskarżony bił pierścieniem, potem, że kopał, tak się jednak dziwnie złożyło, że pośród lekarskich stwier-

A MNIE SIĘ MARZY KONKURENCJA...

Z dyrektorem „CENTRUM" w Warszawie — ALBINEM KOSTRZEWSKIM

rozmawia Żanetta Purys-Regel

Fot. Piotr Jaskow

— Dyrektorze, nie cierpi Pan chyba ostatnio na brak popularności? Znać Pana, to tak, jak znać, powiedzmy, Sośnicką, Szurkowskiego czy Mikulskiego...

— Drobna przesada, ale w każdej dziedzinie, w każdym zawodzie, a nawet w... handlu można sobie zasłużyć na popularność.

— Pana popularność zatacza coraz szersze kręgi i jest już chyba na etapie kiedy nie zawaham się nazwać tego zjawiska gwiazdorstwem, choć na handlowej niwie — jak Pan zauważył — przypadek to nader rzadki.

— Niezbyt ta terminologia jest dla mnie przekonywająca, ale, jeśli chce mnie pani w ten sposób sprowokować... Chętnie posłucham do czego pani zmierza.

— W ostatnich tygodniach, w gazetach i tygodnikach ukazało się sporo wywiadów z Panem. Więc myślę sobie tak:

Kostrzewski wylansował wprawdzie zeszłego lata młodzieżowe ubranka płócienne typu „unisex", złożone ze spodni i bluzy w tym samym kolorze, szalały za takim „mundurkiem" nie tylko nastolatki, ale przecież jedna jaskółka nie zawsze czyni wiosnę. Dlaczego więc wszyscy mają Kostrzewskiego za wyrocznię i pierwszego eksperta w sprawach rynku? I przeszłam się pełna powątpiewania po piętrach „Juniora" i zmieniłam zdanie. To prawie wzruszające, że na każdym stoisku tego dużego domu towarowego znajdowałam coś, co wzbudzało moje zainteresowanie, coś, co chciałabym od ręki kupić, ale nie bardzo mogłam, bo wszędzie stały długie kolejki chętnych. Spróbuję te szlagiery wyliczyć jednym tchem: spódnice bananowe — te biją w ostatnich tygodniach wszelkie rekordy popularności, a poza nimi komplety; dżinsowe w bogatym wyborze fasonów i odcieni, spodnie ze sztruksu i z dzianiny, ubrania „Pacyfik" z zantexu, bluzki w stylu „szmaty" wykonane z najzwyklejszej bawełny, takież koszulki gimnastyczne w różnych kolorach z nadrukiem na piersiach, koszule męskie w kratę i pasy, jakie się tylko mogą zamarzyć, a wszystko w cenach jak najbardziej stosownych do młodzieżowych kieszeni. Zapamiętałam też tłumy klientów, których ruchem, dla utrzymania porządku, trzeba koniecznie dyrygować. Inaczej w entuzjazmie zakupów rozniesiono by stoiska. To się nazywa trafić do przekonań konsumentów — pomyślałam i postanowiłam przeprowadzić z panem kolejny wywiad. Dlatego tu jestem.

Więc jak Pan do tego wszystkiego doszedł? Najpierw niech Pan opowie, skąd Pan wie, czego rynkowi potrzeba, a potem proszę mnie oświecić, skąd Pan bierze tak oryginalny i atrakcyjny, krajowej produkcji towar, który nie powiarza się poza Domami Towarowymi „Centrum" w innych sklepach? Jak się robi ten młodzieżowy rynek, który ma dziś dominującą pozycję w handlu nie tylko u nas, ale na całym świecie?

— Tyle pytań na raz, dlatego zacznę od ostatniego. Musimy sobie na początku wyjaśnić, że rynek młodzieżowy w dokładnym znaczeniu tych słów praktycznie nie istnieje. To pojęcie umowne, oznaczające raczej pewien styl w ubiorze: sportowo, oryginalnie, modnie, a przy tym najprościej, zgrzebnie i tanio. Dziś „młodzieżowo" chcą się nosić wszyscy od lat 14 do 50 i mogą to robić z powodzeniem i pożytkiem estetycznym dla otoczenia, jeśli tylko sylwetka im na to pozwala. A sylwetka — wiadomo — musi być wysmukła.

Ja, dla przykładu, niestety nie mogę sobie pozwolić na najmodniejszą koszulę o wyszczuplonym kroju, bo przy pierwszym schyleniu odprysną wszystkie guziki, ale mam znajomych, moich rówieśników, którzy paradują z wdziękiem w tym, w czym chodzi także mój dwudziestokilkuletni syn. Cała ta moda na młodzieżowy styl sprowadza się, droga pani, do talerza, na którym powinno być dużo twarogu, serów, zielonej sałaty i innych niskokalorycznych specjałów. Tak je dzisiaj świat, który boi się sklerozy i brzucha i ten właśnie świat, bez względu na wiek, ubiera się młodzieżowo.

Może rozgadałem się nieco o tych kaloriach i kilogramach, ale pewnie dlatego, że sam na nie coraz bardziej zwracam uwagę. Poza tym w ten sposób chciałem wytłumaczyć, że „Junior" jest nie tylko królestwem młodych, że szyld: „młodzieżowy dom towarowy" to w dzisiejszych czasach tylko reklamowy chwyt.

— No więc dobrze. Młodzieżowego rynku jako takiego nie ma, jest za to rynek ubiorów sportowych, tanich, oryginalnych i modnych. Skąd Pan wie, co będzie modne? Nasz handel jakoś rzadko do tej pory wykazywał się umiejętnością przewidywania.

— A teraz ja zadam pani pytanie. Dlaczego ja — handel mam parać się najbardziej ryzykownym zajęciem, jakim jest przewidywanie? Sama pani widzi, że Wicherkowi raz się prognoza uda, a trzy razy nie. Ja muszę urządzić się w ten sposób, aby proporcja nietrafionych była odwrotna niż u Wicherka. Ryzyko w handlu wprawdzie zawsze istnieje, ale zmniejszyć jego prawdopodobieństwo ja — handel zamiast przewidywać modę, muszę ją raczej lansować.

— No i co? Chce mi Pan wmówić, że udałoby się teraz, wbrew szaleństwu długich spodnic, na powrót wylansować mini?

— Nie pozwoliła mi pani skończyć. Otóż nie chodzi o dmuchanie przeciw wiatrowi, ale właśnie z wiatrem. Żeby lansować modę, najpierw trzeba umieć ją podglądać. Trzeba znać prawidłowości rządzące modą, czyli pewne generalne tendencje, a wtedy zręcznie manipulując szczegółami można sugerować własną propozycję. Przez kilka ładnych lat obserwowaliśmy z moimi współpracownikami niektóre zagraniczne, a konkretnie francuskie firmy. Wydaje mi się, że schwyciliśmy wątek, dlatego teraz możemy powiedzieć, że nie moda nas wodzi za nos, a my prowadzimy ją na swoim pasku i od tej chwili zaczyna się taktyka „gry rynkowej".

— Dobrze, dobrze, ale to są tylko ogólne prawidła, podczas, gdy mnie interesują konkrety. Niech Pan zdradzi tajemnicę, dyrektorze, jak to się dzieje, że ma Pan na stoiskach w „Centrum" takie towary, których gdzie indziej się nie spotyka? Chwalebne są hasła o potrzebie lansowania, nie zaś nadążania za modą, ale przecież Pan tylko sprzedaje, a nie produkuje towary. Gdyby producent nie umiał wykonać modnego przyodziewku, to z Pana ideologii o lansowaniu nic by nie wyszło. Więc gdzie się kryje tajemnica? Może, jako warszawskie Domy Towarowe „Centrum" jesteście uprzywilejowani?

— Jeśli jest jakaś tajemnica, to stwierdzam autorytatywnie, wbrew krążącym pogłoskom, że nie kryje się ona w żadnych przywilejach. Mamy takie same uprawnienia w zakupach jak inne instytucje handlowe, chyba, że chodzi o ścieżki, które sami sobie wydeptaliśmy. Mamy sztab wykształconych ludzi, którzy znają swój fach i wiedzą jak się robi handel.

Żeby jednak wyeliminować wszelkie pozory tajemnicy, weźmy konkretny przykład. Mamy wzór bluzki, który zgodnie z naszą podstawową wiedzą o panujących w modzie tendencjach, będzie towarem chodliwym. Wzór ten mógł do nas dotrzeć różnymi sposobami: odkryliśmy go w żurnalu, pokazał nam ktoś znajomy, podpowiedział komuś z pracowników jego syn lub córka, czy zaproponował zaprzyjaźniony plastyk — wszystko jedno. Bierzemy ten wzór do ręki, a właściwie do walizki i... ktoś z nas jedzie do upatrzonego producenta, którego możliwości są już nam na ogół znane, aby zaproponować mu wykonanie takiego samego wzoru. I tu decydujący moment dla sprawy: nie pozostawiamy producenta z wzorem sam na sam, lecz nasz przedstawiciel siedzi u niego tak długo, dopóki ów wzór nie zostanie „odszyty" z konkretnego, wskazanego przez nas surowca, z tymi samymi dodatkami, z uwzględnieniem wszelkich szczegółów oryginału.

Często wprowadzenie do ciągłej produkcji nowego, zamówionego przez nas wzoru nastręcza producentowi rozmaite kłopoty, ale jeżeli mamy do czynienia z ludźmi ambitnymi, rozumiejącymi potrzeby dzisiejszego rynku, zarazem dbającymi o dobrą sławę swojej firmy, a takich proszę mi wierzyć, nie brakuje, to wszyscy na tym wygrywamy: zarówno producent, handel jak i sam konsument.

Muszę stwierdzić, że Domy Towarowe „Centrum" nawiązały w ostatnich latach wiele takich wszechstronnie korzystnych kontaktów, zarówno z przemysłem kluczowym, terenowym, jak i spółdzielczości właśnie na terenie województwa łódzkiego, mającego tak bogate tradycje włókniarsko-odzieżowe jak żaden inny region kraju.

— No właśnie „poderwał" Pan nam dobrych fachowców, którzy wykorzystali we współpracy z Domami „Centrum" wszystkie swoje moce produkcyjne i w tej chwili, podobno nie chcą, a właściwie nie mogą z nikim innym gadać, tymczasem łodzianie, po najmodniejsze ciuchy, jeżdżą do Warszawy. Nasz specjalny młodzieżowy sklep pod nazwą „Anka" zamiast „szlagierów" oferuje towar przeciętny, którego nigdzie nie brakuje.

— W handlu kto pierwszy, ten lepszy, ale przecież podkreślałem specjalnie bogate tradycje regionu łódzkiego. Na naszych stałych współpracownikach z terenu waszego województwa świat się nie kończy. Są jeszcze inni fachowcy, trzeba tylko bardzo chcieć i dobrze poszukać, bo przyszłość naszego rynku, ani chybi, leży w ścisłym współdziałaniu handlu z producentami, w jak najdalej idącej integracji tych dwóch ogniw.

— Integracja, rzecz ważna, potrzebę skrócenia drogi od producenta do konsumenta już w handlu kilka lat temu dostrzeżono i podjęto odpowiednie organizacyjne działanie, ale obawiam się, że sama reorganizacja nie wystarcza. Wyczuwanie rynku, umiejętność doboru towarów, które mają szanse być lansowane, to chyba jakiś specjalny talent?

— Talent, który w stopniu nieporównywalnie większym od naszych ludzi, posiada wielu naszych zdolnych projektantów. Tych samych, których kształci łódzka Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. To za nich właśnie część roboty wykonują często przedstawiciele naszej firmy handlowej, którzy jeżdżą do producenta i pilnują tam dokładnego „odszycia" wzoru. Sam projekt to dopiero połowa roboty, choć nie wszyscy projektanci sobie to uświadamiają. Właśnie wierne odtworzenie projektu posiada decydujące znaczenie dla całej serii produkcyjnej. Albo problem plastyka-projektanta i jego roli w przemyśle, to obszerny temat na oddzielną dyskusję. Że problem taki istnieje, świadczą choćby listy, które od czasu do czasu od projektantów — zwłaszcza młodych — tutaj do nas napływają.

— Tematów do dyskusji na pewno by nam nie zabrakło. Temat plastyków-projektantów — też ciekawy, ale gdy inni dyskutują, Pan tymczasem robi dobry handel, zwiększa obroty i popularność Domów Towarowych „Centrum" nie tylko na terenie Warszawy. Podobno „Juniora", „Sawę" i „Warsa" odwiedza każdego dnia ponad ćwierć miliona osób, a wśród nich kilkadziesiąt tysięcy stanowią przyjezdni z całego kraju?

— I pani, jako łodzianka, ma do mnie żal o tę popularność? A czy pani wie, co mnie się marzy? Marzy mi się, żeby w innych ośrodkach powstały także silne centra handlowe, lansujące modę regionalną. Przecież moda nie może być dyktowana centralnie!

Wtedy dopiero zaistniałyby warunki zdrowego współzawodnictwa. Łódź w porównaniu z innymi ośrodkami miałaby w tej rywalizacji wielkie szanse. Kto wie, czy nie byłaby w stanie przyciągnąć także warszawskiej klienteli.

— Może to i prawdopodobne? Chociaż „Anka" nam się nie wydarzyła, to łódzki „Central" cieszy się na tym „umownym" — jak Pan chce — młodzieżowym rynku coraz większą popularnością.

— No więc właśnie, na takie wyzwanie do wyścigu o względy klienta tylko czekamy...

— Dziękuję w imieniu łódzkich handlowców za zaproszenie, które, oby jak najszybciej, zostało przez nich wykorzystane.

---

dzeń o zadrapaniach i siniakach zabrakło świstka na tę okoliczność, w związku z czym obrońca oskarżonego wysnuł przypuszczenie, że poronienia w ogóle nie było, a jak nie było poronienia, to mogło nie być także szarpaniny...

W tym momencie myśląca i nie ulegająca niepotrzebnej emocji część społeczeństwa musi poddać się smutnej refleksji, że kobieta, jeśli gorąco tego pragnie, może nieraz sprokurować przeciwko mężczyźnie obciążające poszlaki i dowody. Najczęściej dzieje się to w sferze tak zwanych gwałtów (wedle prawa, ofiarą gwałtu może paść nie tylko zabłąkana w lesie albo zwabiona na prywatkę dziewczyna. Nie! Oto zgwałcona przez klienta prostytutka, oto żona zgwałcona przez rodzonego męża, oto panienka, która po długim obcowaniu cielesnym ze swoim narzeczonym doszła któregoś wieczoru do przekonania, że uległa brutalnej przemocy — wszystkie te katergorie pań ulegają ochronie prawa, a każdy z tych mężczyzn może trafić do więzienia), ale historia naszego beatowca zdaje się poszerzać ten problem o nowe, groźne treści...

Biologicznie rzecz biorąc, mężczyzna jest w każdym związku partnerem silniejszym. Wprawdzie kiedyś czytałem w gazecie, że trzydziestoletnia horpynka zgwałciła na sianie jakiegoś wyrywającego się nieboraka, który podał ją później do sądu, ale była to raczej próba rozbawienia czytelników. Mężczyzna ma większe bicepsy; jest może czasami chudszy od kobiety, szczególnie wtedy, kiedy on pracuje, a ona poleguje w domu, ale ma za to większy dryg do zadawania ciosów, wykręcania rąk, krępowania nóg i przewracania partnerki na podłogę. Ta zręczność i siła mężczyzny obraca się jednak w ostatecznym rachunku przeciwko niemu i bardzo często stroną triumfującą okazuje się kobieta, która swoją przyrodzoną słabość potrafi przytomnie wykorzystać. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że jest wiele ewidentnych, zbiorowych, wstrętnych gwałtów na kobietach, i zawsze z satysfakcją czytam o wyrokach na różnych zwyrodnialców i nieponi, jednakże zakładanie a priori, że jeśli ktoś jest niższy, słabszy, młodszy, bledszy, ładniejszy, delikatniejszego ciała to musi być jednocześnie uczciwszy, lepszy, wspanialszego serca, jest dość ryzykowne. Obok pozornych gwałtów fizycznych istnieją także pozorne gwałty psychiczne. Jeśli może się zdarzyć, że jakaś dziewczyna pójdzie dobrowolnie z mężczyzną do łóżka, a nazajutrz, mając na myśli takie czy inne korzyści, oskarży go o gwałt, to może się zdarzyć również, że jakaś dziewczyna wyjdzie dobrowolnie za mąż, a w kilka miesięcy później, inspirowana przez rodzinę, kochanka czy też jakiegoś nieuczciwego prawnika, zacznie domagać się rozwodu, który da jej nie tylko wolność, ale również przy sprzyjających okolicznościach, alimenty i połowę majątku.

— Jeśli on zrzeknie się całego mieszkania, natychmiast wyjdzie na wolność!

Telefon tej treści otrzymała rodzina beatowca w chwili, kiedy ten siedział w więzieniu.

Było to zagranie naiwne. Podburzona przez rodziców, którym do cna znudziło się nędzne, jednopokojowe mieszkanie na peryferiach, postanowiła zawładnąć już nie połową, ale większością majątku małżonka. Od dawna zresztą wytykała palcem meble, które po rozwodzie zostaną jej własnością, od dawna określała sumę, jaką chciała by mieć w zagranicznej i polskiej walucie... Szantaż, nie zawsze subtelny, wisiał nad nimi jak miecz.

4.

Beatowiec stanął przed sądem oskarżony o znęcanie się nad swoją prawowitą (rozwodu jeszcze nie mają) żoną. Oboje są drobni, niewysocy, ładni i szczupli. Siedzą na ławie, pomiędzy nimi adwokat. Gdyby nie ten adwokat, można by pomyśleć, że są parą piękną i zgodną, jednakże występujący w interesach powódki mecenas grzmi niczym ksiądz z ambony.

Oskarżony uprawia muzykę mocnego uderzenia: nasuwa się stąd logiczny wniosek, że w życiu też uderza mocno! Jego wina nie podlega żadnej wątpliwości: terroryzował to bledactwo, które oddało mu wszystko, co najświętsze w życiu — zaufanie, miłość, cnotę i swoje młode lata. Oskarżony jest wałkoniem przyzwyczajonym do próżniaczego życia, szwenda się po jakichś miastach, a żona usycha z tęsknoty w domu.

Była to oczywiście demagogia, na którą sąd nie dał się nabrać. Sąd słyszał z pewnością nie raz w radio i telewizji śpiewane przez oskarżonego i parę milionów ludzi piosenki — ckliwe, romantyczne, łagodne, pełne pogodnego ciepła i niekłamanego talentu. Sąd podkreślił, że nie jego sprawą jest analizowanie wartości artystycznych tej muzyki, jednak biorąc pod uwagę jej popularność, nie da się ukryć, że ma ona niemałe znaczenie społeczne.

Jednakże rola sądu była w tym procesie trudna.

Co z tego, że oskarżony miał dobrą opinię z miejsca pracy? Co z tego, że nie nadużywał alkoholu i nigdy nie brał udziału w żadnych burdach? Co z tego, że w momencie, kiedy został zatrzymany (było to w wigilię Wielkiej Nocy), towarzyszyła mu najbliższa, spokojna rodzina: ojciec, brat z żoną, stryjek (żona beatowca, widząc ich w domu, wyskoczyła po milicję). Co z tego, że niektóre skierowane przeciwko beatowcowi oskarżenia nie znalazły potwierdzenia w materiale dowodowym?

Zasadnicze znaczenie miały dla sądu przedłożone przez poszkodowaną obdukcje. Były sińce? Były! Były zadrapania? Były! A lekki wstrząs mózgu? Sąd nie ma prawa przypuszczać, że poszkodowana kłamie, że nie pobił jej mąż, tylko ktoś obcy... Sąd słusznie stwierdził, że problemów rodzinnych nie należy rozwiązywać przy pomocy pięści atoli — biorąc pod uwagę licznie nasuwające się wątpliwości — zmienił kwalifikacje z artykułu 184 na 182, uwalniając oskarżonego od zarzutu rozmyślnego znęcania się nad żoną.

Ci, którzy mogli przysłuchiwać się temu z boku, nie wierzyli żonie beatowca, dopuszczali jednakże myśl, że — zdesperowany, sprowokowany, rozgoryczony — mógł dopuścić się jakichś rękoczynów.

Beatowiec jednak z uporem upierał się przy swojej całkowitej niewinności. Z głębokim wzruszeniem wysłuchał wyroku: rok więzienia z zawieszeniem na dwa lata. Nie będzie zatem siedział. No i wyrok nie jest prawomocny — strony mogą go zaskarżyć. Nie powinien zatem rozpaczać. A przecież rozpacza! Zbliża się sprawa rozwodowa, później będzie sprawa o podział majątku. Tymczasem nie ma gdzie spać, a w jego mieszkaniu urzęduje żona, a u żony w nogach śpi teściowa, przyzwyczajając się do roli gospodyni. Niektórzy radzą mu: idź tam, bracie, pomieszkaj, bo zostaniesz na lodzie. Ale beatowiec woli nie ryzykować.

— Wejdę — powiada — a ta się ciachnie żyletką po łapie i wszystko zacznie się od nowa.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PREZENTACJE

HANDEL CZY KULTURA

— Gdyby przyszło Panu powiedzieć, czego w księgarstwie jest więcej, działalności handlowej czy kulturalnej, to jak by Pan sformułował odpowiedź? — pytam Ryszarda Kosela.

— Formalnie — powiedziałbym — jest to handel. Jest lada, są sprzedawcy, jest kasa, ale inny jest przedmiot tego handlu. Inna więc musi być wiedza księgarza i to nie tylko o przedmiotach, którymi handluje.

— Zatem i działalność kulturalna, umiejętność spopularyzowania tych treści, które zawierają książki.

— Zapewne, choć — powtarzam — formalnie tu ciągle nie ma jasności, bo wprawdzie podlegamy Ministerstwu Kultury i Sztuki, należymy do Stowarzyszenia Księgarzy Polskich, mamy Związek Zawodowy Pracowników Książki, Prasy i Radia, ale też wiele w naszych sprawach mają do powiedzenia wydziały handlu. Zostaliśmy na przykład objęci podwyżką płac w grupie pracowników handlu, a nie kultury.

Już sam fakt sformułowania tego pytania przez panią dowodzi, że jest to sprawa, która rodzi wiele niejasności i że nawet klienci, którzy często odwiedzają księgarnie też do końca nie wiedzą, czy przychodzą do placówki handlowej, czy do kulturalnej, czy też do takiej, która jest jednocześnie i handlową i kulturalną.

— Gdzie można byłoby szukać przyczyn tego stanu?

— Wydaje mi się, że po prostu dziś już nie funkcjonuje stary model księgarstwa, a nowego ciągle jeszcze nie dorobiliśmy się.

— Co Pan rozumie przez określenie: „stary model księgarstwa"?

— Nie pamiętam księgarstwa przedwojennego, zacząłem pracować tuż po wojnie, kiedy księgarnie dysponowały wielkimi lokalami, a nie bardzo miały co sprzedawać. Zaczynaliśmy sprzedaż książek z zapasów, jakie przetrwały wojnę i z pierwszych dostaw polskich książek ze Związku Radzieckiego, gdzie je drukowano. Później rozpoczęły swoją działalność wydawniczą firmy prywatne i one dostarczały nam książek. Księgarnie były bardzo blisko związane z firmami wydawniczymi. Ja zacząłem pracować w księgarni Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza". Zostałem praktykantem i zawód księgarza zdobywałem w codziennej pracy, dopiero później uzupełniłem wiedzę w typowej szkole księgarskiej. Było to — moim zdaniem — księgarstwo, które mogło podołać ówczesnym potrzebom i możliwościom wydawniczym, ale które z chwilą rozwoju rynku wydawniczego nie mogło już sprostać rosnącym potrzebom i nakładom.

— Zawodu księgarza można się nauczyć?

— Tak. Można i trzeba, ale w procesie uczenia się tego zawodu trzeba ściśle łączyć teorię z księgarską praktyką. Ten zawód trzeba przede wszystkim polubić. Obserwuję zarówno tych, którzy przychodzą do księgarń po technikum księgarskim, jak i tych, którzy przychodzą do pracy bezpośrednio po szkole średniej. I wśród obu grup są tacy, którzy radzą sobie znakomicie, ale i wielu, którym praca nie daje pełnej satysfakcji.

— Czy Pan lubi swój zawód?

— Bardzo. Czuję się w nim znakomicie, choć mam wiele powodów do niezadowolenia.

— Co daje Panu największą satysfakcję?

Fot. W. Parys

— Kontakt z ludźmi. Możliwość spotykania bardzo ciekawych ludzi. Obserwowanie ich stosunku do książki. Możliwość pomagania im w kształtowaniu tego stosunku. Do księgarni przychodzą przecież ludzie różni. Jedni są już wytrawnymi bibliofilami, inni dopiero zaczynają kupować i gromadzić książki. Przychodzą specjaliści, którzy szukają określonych pozycji, nowości wydawniczych ze swej specjalności, ale i tacy, którzy chcą „coś do czytania".

— Czy wszyscy wychodzą z księgarni zadowoleni?

— Czy dostali to, czego szukali? Różnie z tym bywa. Początek tego roku przyniósł sporo ciekawych publikacji. Szybko ukazały się dodruki tych książek, które rozeszły się wśród czytelników. Jest sporo interesujących zapowiedzi.

— Ciągle jeszcze zdarza się, że między zapowiedzią a ukazaniem się książki upływa dość długi czas.

— Istotnie. Powiedziałbym, że prawie połowa zapowiedzi przychodzi ze znacznym opóźnieniem. Często nieraz trudno zrozumieć przyczyny tych opóźnień. Wydawca określa termin, my informujemy na tej podstawie klientów, a później musimy się wstydzić, gdyż terminu się nie dotrzymuje.

— Co gorsze dotyczy to również subskrypcji.

— Między innymi też, choć doprawdy wiele za to nie ponosimy.

— Zdarza się ostatnio bardzo często, że trzeba wracać do księgarni z kupioną książką, bo jest ona drukarskim brakiem. Nie posiada wszystkich stron, albo ma je podwójne. Bywa i tak, że część stron jest czysta, niezadrukowana lub tak zamazana, że niemożliwa do przeczytania. Czy wiele zdarza się Panu takich reklamacji?

— Ostatnio tak. Przy czym to może przykre, ale niestety prawdziwe, że znaczna większość błędów pochodzi z Łódzkiej Drukarni Dziełowej. Drukarnia ta między innymi wypuściła bibliofilską pozycję o ex librisach Cecylii i Janusza Duniów, której połowa nie nadawała się zupełnie do sprzedaży. Przyzwyczailiśmy się do tego, że przy masowych nakładach mogą powstawać uchybienia edytorskie. Ale szczególnie przykro, gdy dotyczy to książki bibliofilskiej.

— Co mówią na ten temat księgarze, jakie mają postulaty?

— Uważamy, że drukarze powinni być materialnie odpowiedzialni za wytwarzane braki. Inaczej ciągle będziemy odsyłali książki do reklamacji.

— Jaki jest Wasz wpływ na wydawców, kiedy ci ustalają wysokość nakładów? Przecież to, co dzieje się z wieloma książkami, nosi znamiona przypadku. Jedne książki ukazują się w nakładach śmiesznie małych i błyskawicznie znikają, inne — w wysokich i potem okupują półki.

— My przekazujemy informacje naszym jednostkom nadrzędnym o popycie i podaży książki, jeśli tak można się wyrazić i to dociera do wydawców, ale nie zawsze wydawca nam wierzy, nie zawsze nasze sugestie uwzględnia. Stąd te nieporozumienia z wysokością nakładów.

Oczywiście, często trudno jest trafić z nakładem, można się pomylić, ustalić go zbyt wysoko, albo wydawca bojąc się ryzyka — ustala go zbyt nisko. Ale to powinny być wypadki sporadyczne.

— A jest na to rada?

— Aby tego uniknąć, proponujemy wydawcom wypuszczanie na księgarski rynek pozycji wątpliwych w sensie odbioru w niewysokim nakładzie, a następnie, jeśli książka znajduje czytelników, robienie w szybkim tempie dodruku.

Poza tym proponujemy też, aby wymiana informacji między wydawcami a księgarzami była obustronna. My im sygnalizujemy, jak rozchodzą się książki, a oni nam — to właśnie postulujemy — powinni dostarczać sygnalne egzemplarze znacznie wcześniej, abyśmy mogli precyzyjniej określić zamówienie. Zupełnie inaczej można określić zamówienie mając przed sobą książkę w jej ostatecznym kształcie, a inaczej, kiedy ma się do czynienia tylko z lakonicznym i nieprecyzyjnym opisem tej książki.

— Powiedział Pan, że lubi swój zawód, choć ma Pan też powody do niezadowolenia. Czy to właśnie te powody?

— Nie tylko.

— Jakie są inne?

— Choćby to, że nasz zawód staje się coraz mniej atrakcyjny.

— Nie ma następców?

— Tak to można nazwać. W tym roku — jak wynika z zapowiedzi — na 20 osób, które kończą Technikum Księgarskie w Łodzi, tylko dwie osoby wyraziły chęć podjęcia pracy w księgarniach.

— Co ich odstrasza?

— Jest to wbrew pozorom trudny i męczący zawód. Najbardziej cieszymy się wtedy, kiedy w księgarniach panuje duży ruch. Książki kupuje się z potrzeby, dla przyjemności i na upominek dla bliskich. To bardzo miłe. Są więc okresy, kiedy po zamknięciu księgarni siadamy wszyscy, aby chwilkę po prostu odsapnąć. Szczególnie wtedy, kiedy sprzedajemy podręczniki, ale ruch w księgarni mamy przecież stale. Trzeba więc ten zawód lubić, aby te trudy nie odstraszały. Trzeba poza tym stale mieć czas na dokształcanie. Książek nie można znać tylko z opisu, trzeba je czytać, trzeba pogłębiać wiedzę o samej książce. Na to potrzebny jest czas, a przecież jest jeszcze życie osobiste, rozrywki.

— A jakie są warunki pracy w księgarniach?

— Też nie najlepsze. Dla wielu młodych odstraszające są godziny pracy. Księgarnię zamyka się o godz. 18—19, ale jeszcze trzeba uporządkować wiele różnych spraw, tak że kończymy pracę trochę później. Czasem trudno zdążyć do teatru, w kinie pozostaje już tylko ostatni seans. Nie wszyscy godzą się na taką pracę.

— Warunki lokalowe też pozostawiają sporo do życzenia.

— To prawda. Są księgarnie bardzo małe, bez należytego magazynu, ciasne, nie ma gdzie położyć paczek z książkami.

— Buduje się jednak nowe księgarnie. Choćby placówka, którą Pan kieruje — księgarnia „Współczesna". Chyba nie ma Pan powodów do narzekań?

— Klientom rzeczywiście może się podobać. My ją jednak oceniamy trochę inaczej. Nie mówię już nawet, że na zapleczu mamy ciasno, że nie ma, zaplanowanych podobno, antresoli. Nasze wystawy nasłonecznione są tak bardzo, że książka wyłożona w witrynie bardzo szybko się niszczy. Nie pomyślano również o wentylacji, trzeba więc korzystać z tradycyjnych lufcików. Ile przez to kurzu osiada na książkach? W upalne dni temperatura u nas jest jak w łaźni. Po kilku godzinach pracy wszyscy jesteśmy wykończeni. A przecież klient nie musi o tym wiedzieć. Nie może wyjść z księgarni niezadowolony z obsługi. Niepokoi mnie, i nie tylko mnie, jeszcze coś innego. Oto tracimy stan księgarskiego posiadania w centrum miasta. Buduje się wprawdzie nowe księgarnie, ale już poza centrum. Wydaje mi się, że duże — a przede wszystkim specjalistyczne księgarnie — powinno lokować się w centrum, tam, gdzie najwięcej przychodzi ludzi, gdzie jest ruch. Książkę musi być widać w mieście.

— We „Współczesnej" istnieje ośrodek informacji o książce społecznej i politycznej. Czy klienci z tego korzystają?

— Proszę spróbować dodzwonić się do nas. W tej chwili powinienem mieć już pracownika, który by udzielał informacji tylko przez telefon. Niestety, ze względu na brak ludzi, nie możemy sobie na to pozwolić. Nasza księgarnia udziela zresztą pełnej informacji o książkach ze wszystkich dziedzin. O tych, które wydano wcześniej, o tych, które mamy aktualnie i które mają do nas dotrzeć. Informujemy o wysokości nakładu, orientacyjnym terminie ukazania się na rynku, o tym, czy nakład jest już wyczerpany, czy będzie wznowienie. Sprowadz my także na zamówienie poszukiwaną książkę ze Składnicy Księgarskiej. Staramy się więc dać naszym klientom informację wyczerpującą, a że nie zawsze się ona sprawdza, to już nia nasza wina, o czym już mówiłem.

— Wiem, że poza pracą zawodową działa Pan również w naszym wspólnym związku zawodowym Pracowników Książki, Prasy i Radia. Sprawom książki i księgarstwa poświęca Pan więc mnóstwo czasu. Nie ma Pan innych, już relaksowych zainteresowań?

— Mam. Pewnie się Pani zdziwi — raz w tygodniu szkolę młodych płetwonurków. Relaks trochę w Łodzi nietypowy. Ale jakże odprężający.

— Gdyby miał Pan jeszcze raz wybierać zawód?

— Jeszcze raz wybrałbym księgarstwo. Narzekamy sobie czasem, każdy chce, żeby było jeszcze lepiej. To przecież naturalne, tymi sprawami żyjemy na co dzień. Nie mogą być nam obojętne. Wiem, że może zabrzmi to trochę sloganowo, trudno, ale zawód księgarza to naprawdę piękny zawód. Starzy księgarze wiedzą o tym najlepiej.

Rozmawiała

BOGDA MADEJ

RECEPTA NA TEATR PROWINCJONALNY

Powojenna historia teatru polskiego raz po raz odnotowuje przypadki znacznego ożywienia artystycznego w miejscach dość odległych od tradycyjnych ośrodków kultury. Działalność Byrskich w Kielcach i Gorzowie Wlkp., Jerzego Grotowskiego w Opolu, Augusta Kowalczyka w Częstochowie, Izabelli Cywińskiej w Kaliszu, Jana Bleszyńskiego w Olsztynie i wielu innych mocno ugruntowała przekonanie, iż rezultaty artystyczne i powszechne uznanie można uzyskać pracując nie tylko w stołecznych teatrach. Stąd, mimo licznej i usprawiedliwionej wieloma względami pielgrzymki artystów do większych miast, obserwuje się także zjawisko przeciwne: świadomego osiedlania się na scenach prowincjonalnych w nadziei łatwiejszego, tu, niż gdzie indziej, zrealizowania planów i marzeń o „swoim" teatrze. I, co charakterystyczne — marzenia te podzielają zarówno absolwenci szkół teatralnych jak i dojrzali twórcy. Wszyscy też na ogół — niezależnie od umiejętności i uzdolnień — napotykają na podobne trudności. Teatry prowincjonalne obłożone są najczęściej ogromnymi planami usługowymi. Tak w żargonie teatralnym określa się występy poza stałą siedzibą, niejednokrotnie bardzo uciążliwe, bo odbywane w prymitywnych salach i przed publicznością gromadzoną nieraz z wielkim trudem.

Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze — musiał w poprzednim sezonie występować 400 razy, z tego aż 220 w terenie. Mimo interesujących osiągnięć artystycznych („Legenda" Wyspiańskiego w reż. Henryka Tomaszewskiego uzyskała nagrodę I stopnia na XIII Kaliskich Spotkaniach Teatralnych) zespół był zmęczony. Brakowało wciąż czasu na próby i prace nad doskonaleniem warsztatu aktorskiego Toteż gdy w roku 1973 dyrekcję Teatru Dolnośląskiego objęła (po Tadeuszu Kozłowskim) Alina Obidniak (poprzednio m. in. dyrektor Teatru im. W. Bogusławskiego w Kaliszu), jedno z jej pierwszych działań, uwieńczone sukcesem, dotyczyło uzyskania zgody na zmniejszenie planu wyjazdów.

Od września ubiegłego roku teatr daje już tylko 120 przedstawień na miejscu i tyleż w objeździe. Liczby te obejmują spektakle na Dużej Scenie. Nazwa ta wiąże się z kolejną innowacją w jeleniogórskim teatrze. Polega ona na zdobyciu prawa do eksperymentu artystycznego. W tym celu powołano Scenę Studyjną, z kameralną widownią (ok. 80 miejsc) i bez stałej, ograniczającej inwencję inscenizatorów, zabudowy wnętrza. Jej działalność zainaugurował „Pierścień wielkiej damy" Norwida w reż. Grzegorza Mrówczyńskiego (warsztat PWST), następnie Alina Obidniak wystawiła „Wyzwolenie" Wyspiańskiego, Krzysztof Pankiewicz „W małym dworku" Witkacego, a ostatnio przygotowano „Konopielkę" Redlińskiego w adaptacji i reżyserii Mrówczyńskiego. W najbliższym sezonie projektuje się „Kleopatrę" Norwida, „Horsztyńskiego" Słowackiego adaptację opowiadania Granina „Ktoś powinien" i „Okapi" Grochowiaka.

Repertuar Dużej Sceny jest również imponujący. Dotychczas wystawiono „Cyrana de Bergerac" Rostanda w reż. Aliny Obidniak, „Kolędników" Skotnickiego, „Zemstę" Fredry w reż. Pankiewicza oraz „Peer Gynta" Ibsena w reż. Tomaszewskiego, zaś plany na rok 1974/75 przewidują: „Nieboską komedię" Krasińskiego, „Beniowskiego" Słowackiego, „Sen nocy letniej" Szekspira, „Pannę Tutli-Putli" Witkacego i „Rumcajsa" Brylla. Kierownictwo teatru chce się przeciwstawić powszechnej praktyce opłacania wartościowszych pozycji kasowymi komedyjkami lub farsami. Jak dotąd nie musiano w Jeleniej Górze uciekać się do takiego ratunku w obawie przed klęską frekwencyjną. To ledwie 60-tysięczne miasto wypełnia systematycznie sale teatralne, a szczególnie jedna z nich — Scena Studyjna — obudziła szczere zainteresowanie teatrem. Może jest to objaw snobizmu, ale przecież snobizm tak szlachetny zasługuje na pochwałę. Kiedy otwierano Scenę Studyjną, liczono co najwyżej na około 18 przedstawień jednego tytułu Tymczasem „Pierścień wielkiej damy" miał już 60 spektakli, a „Wyzwolenie" dobija 40-tu. Ponadto przy scenie tej spontanicznie zawiązał się klub dyskusyjny.

Ambitny repertuar nie zaskakuje na scenach prowincjonalnych, należy niemal do reguły. Jakże często małe teatry, w chęci zwrócenia na siebie uwagi, sięgają do tytułów omijanych nawet przez doświadczone zespoły. Nie bez przyczyny na przykład tragedia grecka gościła najczęściej w mniejszych ośrodkach teatralnych. Należy jednak zapytać, z jakim to się działo i dzieje rezultatem. Jedną z przeszkód, o jaką zwykle potykają

„Moje uczucie zazdrości jest silne i bardzo złe, ale na swoją obronę mam to, że chyba wiem skąd się wzięło. Jestem sam sobie winien, posunąłem się za daleko w ulepszaniu mojego sprzętu rybackiego, narzędzi, za pomocą których łowię. Ich doskonałość zamiast zbliżać — oddziela mnie i oddala od zwierzyny, na którą poluję, niszczy świat, w którym ona żyje, odbiera rzeczom, ziemi, wodzie, drzewom ich prawdziwy byt. A mnie pozostają tylko słowa, coraz więcej słów". („Zazdrość, czyli o nadmiarze doskonałości i środków").

Nie tylko lęk przed technicyzacją rybołówstwa wyrażają te słowa. Nie tylko strach przed oddaleniem człowieka od natury przez ostrzącego sobie pazury demona cywilizacji. Jest w tym fragmencie zawarty także profensjonalny dramat pisarza. Daremność prób uchwycenia w sieć słów tego, co jest odrębne i samoistne, co słowo nazywając oddziela i oddala, bo można zbliżyć się do tego jedynie milcząc i odczuwając. Na drodze pisarza wyrastają przeszkody — bariery, przepaście, zasłony. Zrywa zasłonę myśląc, że przeszkoda została pokonana.

„Ale kraina, w którą teraz swobodnie wchodzę — nie jest już tą, którą przed chwilą widziałem. Wszystko, co w niej było tak niezwykłe, wartościowe — zostało usunięte, jeśli wolno tak powiedzieć — ewakuowane w głąb kraju... Kończę więc swoją pracę z przykrym uczuciem, że nie odkryłem niczego, że to wszystko jest ciągle tam. Przeszkoda tylko cofnęła się. To, co tak bardzo chciałem mieć — jest znowu poza mną. Poza nową, kolejną, piętrzącą się na mojej drodze przeszkodą". („Przeszkody").

Szczęśliwi ci, którzy wierzą, że ich słowa powołują do życia nowe światy. Szczęśliwi poeci i pisarze — programowi kreatorzy. **Kornel Filipowicz** do nich nie należy. Szczęśliwi ci, którzy wierzą, że świat wiernie odtwarzają. Szczęśliwi programowi realiści. Filipowicz do nich nie należy, choć, o ironio, za tzw. realizm szczegółu zarówno go ganiono, jak chwalono. Zapewne, jego wyznania to gesty pisarskiej bezradności; rzucając pytanie **„Co jest w człowieku?"** stwierdza, że nie jest w stanie na nie dać odpowiedzi. Świadomość bezradności jednak zarazem ją nobilituje — tym bardziej, że świadomość tę osiągnął wtedy właśnie, kiedy powstawały jego najlepsze utwory.

Część krytyków oskarżała Filipowicza o nienowoczesność, o brak wielkiej metafory, o tradycyjny realizm, o to wreszcie, że nie jest Borowskim ani Dostojewskim. Jest to kwestia kryteriów, a także — sposobu czytania. Wśród twórców wielkich prozatorskich metafor niestety tylko bardzo nieliczni bywają odkrywcami. Błędny jest bowiem pogląd, że sposób pisania jest tylko kwestią techniki. Wyrasta z przeżyć i określonych sytuacji kulturowych. Tzw. nowoczesność zbyt często bywa tylko powielaniem cudzych pomysłów, literackim savoir-vivrem pisaniem o niczym, a niekiedy importem literackich bubli. Amatorzy nowoczesności zapominają zdaje się o tym, że istnieją pisarze zagraniczni, często wysokiej klasy, którzy pod pozorami szczegółowej realizacji i tradycyjnej narracji ukrywają wcale nietradycyjne koncepcje, kryją się one w sferze przemilczeń, w podtekście.

Coraz bardziej lubimy antyki i dzienniki, coraz częściej czytujemy baśnie i może nawet niekiedy, o zgrozo, męczy nas i nudzi Butor. Oczywiście nikt nie ma zamiaru wynosić pod niebiosa pospolitego opisywactwa, którym zresztą grzeszył także Filipowicz na początku swojej twórczości (szczególnie w powieściach). Łatwo je jednak odróżnić od opisu „ukierunkowanego" — jest chyba truizmem że Zgierz w opowiadaniu może być nie tylko Zgierzem, a pan Kowalski nie tylko panem Kowalskim, choć nie nazywa się pan K.

Sygnałem tego, że w późniejszym okresie swojej twórczości Filipowicz od naiwnego realizmu odszedł, mogą być choćby przytoczone na wstępie jego rozważania na temat sztuki pisarskiej. Jest pisarzem, który silnie odczuwa opozycję życie — literatura i aby ją wyrazić nierzadko posługuje się ironią, która czasem nawet wygląda na autoironię. Przykładem może być choćby narrator z opowiadania **„Adela czyli list znaleziony w szufladzie"**. Jest nim pisarz, który szuka odosobnienia aby móc spokojnie zagłębić się w pracy pisarskiej. Wtedy w ciszę wynajętego pokoju wdziera się niczym paskudny zgrzyt, ów list Adeli, żywcem z życia wzięty, trzeba coś z nim zrobić, aby nie zakłócił sterylnej atmosfery świątyni sztuki. A czyż nie jest kpiną z Literata **„Romans prowincjonalny"**, w którym bogata psychika polskiej Emmy Bovary (na opak) zostaje skonfrontowana z kompletem konwencjonalnych reakcji stołecznego poety o wnętrzu wypełnionym papierem? Ostrze pisarskiej drwiny nie godzi bynajmniej w konkretnego bufona i kabotyna — godzi w Literata.

Bohaterka tej mikroopowieści wracając z Warszawy po nieodbytej rozmowie ze swoim nieciekawym kochankiem, znajduje w gazecie wiersz jego „Romans prowincjonalny" (niby o sobie i o nim) i dostaje mdłości czytając ten stek konwencjonalnych upoetycznień, dowód zarozumiałości literackiego debila, który kompletnie nic z całej romansowej historii nie zrozumiał i którego doznania ubożuchne były wobec doznań tej „prowincjanalnej gęsi", jako że „prowincjonalna gęś", to dość już starawa konwencja literacka.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

POZOSTAŁY MU TYLKO SŁOWA

Filipowicz raczej rzadko w swoich utworach wypowiada się explicite na temat sztuki pisarskiej, ale rozważania te są bardzo istotne i mogą mieć ogromny wpływ na interpretację wielu opowiadań. Jednym z dowodów tego były właśnie **„Przeszkody"** i zarysowana w nich opozycja życie — literatura.

Innym jest opowiadanie **„Mój przyjaciel i ryby"**, w świetle którego cały tomik, a więc zawarty w nim problem pasji rybackiej narratora zdaje się nierozerwalnie łączyć z jego pasją pisarską. Bohaterami tego opowiadania są dwaj zapaleni rybacy i zarazem pisarze. Jest ono skonstruowane cokolwiek przewrotnie, ponieważ uwagi narratora odnoszące się do pisarstwa jego przyjaciela są właśnie zarzutami, formułowanymi od czasu do czasu przez krytykę w stosunku do Filipowicza — że nie lubi wielkiej tematyki, że korzysta ze skrawków materiału, które spadły z warsztatu wielkich pisarzy. Walka o ilość złowionych ryb przenosi się z konkurencją na polu literackim. Po przeczytaniu tego utworu mamy wrażenie, że wielki łosoś jest nie tylko wielkim łososiem, a klęska rybaka nie tylko klęską rybaka. Ten rybacki tomik oczywiście jest trochę w koncepcji Hemingwayowski, ale jednak nie wtórny — trochę dzięki ukrytym w nim innym podtekstom, a trochę dlatego, że Filipowicz nie próbuje podchwycić stylistyki Hemingwaya, co na wielki plus należy mu policzyć.

Hemingwayowskim typem pisarza jest o tyle sam Filipowicz, że jego twórczość silnie wiąże się z biografią, że lubi się fotografować ze zdobyczą (ryby!) i w okolicznościowym stroju. Znajomość pewnych spraw chyba powoduje, że pisarzowi udaje się z biegiem czasu przełamać szablony — obóz i wojnę zna przecież nie z opowiadań ani z literatury. Należy do pokolenia wojennego. Urodził się w 1913 r., brał udział w kampanii wrześniowej, pracował w kamieniołomach, siedział w więzieniu w Krakowie, był w obozach koncentracyjnych. Rzecz jasna, że tematyka wojenna musiała pojawić się w jego twórczości. Istnieje u nas dość częsty zwyczaj porównywania wszelkiej literatury obozowej z Borowskim — wniosek bywa taki, że jeśli literatura ta nie osiąga wymiarów apokalipsy, to jej wartość jest znikoma. Argument wydaje się co najmniej dziwny. Trudno mieć pretensje do pisarza, o to że nie jest Borowskim, czy nawet o to, że nie jest podobny do Borowskiego.

Opowiadania o tematyce wojennej zawarte są w debiutanckim tomie opowiadań Filipowicza **„Krajobraz niewzruszony"**, wydanym po raz pierwszy w r. 1947, ale obóz i wojna jeszcze dużo później są stałą obsesją pisarza. Równie ważne, a może ważniejsze niż zewnętrzne okoliczności życia bohaterów tych czasów są ich reakcje psychiczne — reakcje ludzi w sytuacji wyjątkowej. To jest chyba najistotniejsze, bo wydarzenia dla pokolenia Filipowicza zawsze żywe, staną się być może kiedyś okrutną legendą, a więc realia usuną się w cień. Oczywiście trudno stwierdzić, czy to „wojenna" twórczość Filipowicza wpłynęła na jego utwory o odmiennej tematyce, czy też pewne pisarskie dyspozycje od razu obraz wojny pozwoliły w ten a nie inny sposób zarysować. W każdym razie pozostała skłonność do stawiania bohaterów w sytuacjach wytracających ich życie z normalnego łożyska.

Ukształtował się dzięki temu pewien typ kompozycji fabularnej. Punktem kulminacyjnym bywa najczęściej jakieś wydarzenie przełomowe, które odsłania wewnętrzne możliwości centralnych postaci, a zarazem tajemnice ich psychiki. Nierzadko pojawia się pointa, która jest pointą psychologiczną — zaskakującą reakcją na zwrot w biografii i odczuciach. Takim decydującym zwrotem w życiu Elżbiety z **„Romansu prowincjonalnego"** jest jej flirt z warszawskim poetą, a dla Maćka z **„Jeńca i dziewczyny"** — ucieczka w góry z młodą Szwajcarką, dla Krystyny z mikropowieści **„Mężczyzna jak dziecko"** — wypadek jej męża. Przykłady podobne można by mnożyć, choć pozornie wydarzenia mają różną wagę, raz chodzi o śmierć, a raz o złowienie ryby.

Ujawniające się w kulminacyjnych momentach cechy ludzkie stanowią dominantę kompozycyjną. A więc w przypadku wojny decydujące są nie jej zewnętrzne atrybuty, ale właśnie skutki psychiczne. Sytuacja komplikuje się, bo cechy uznawane dotychczas przez opinię publiczną za pozytywne (np. rzetelność w codziennej pracy) w warunkach okupacyjnych stają się co najmniej dwuznaczne.

Filipowicz jest pisarzem, który dostrzega względność norm etycznych. Bohaterowie jego rzadziej stają wobec ostro zarysowanej alternatywy, natomiast częściej muszą realizować zasadę **„w każdej chwili wybierać muszę"**, bo okupacja to codzienność. Codziennością staje się wszystko — życie w obozie i partyzantka, ciągły lęk i wieczna nielegalność. Filipowicz jest moralistą, ale moralistą, który bardziej tropi postawy antyheroiczne niż heroiczne. Wartości ukazuje poprzez ich negację. Najbardziej pod tym względem typowy jest **„Pamiętnik antybohatera"**. Antybohatera pracującego rzetelnie w niemieckim biurze. Nie ma on właściwie niczyjej krzywdy na sumieniu. Sąd go uniewinnia, staje się dzięki nieprawdziwym zeznaniom prawie bohaterem, ale po tym wszystkim ma wewnętrznego kaca — czuje brak; nie stał się kimś, kim mógłby być. Coś więc musi być w postawie heroicznej, co przyciąga takich nawet ludzi, którzy są wiecznymi konformistami. Ulega presji powszechnego wartościowania? Jakiemuś narodowemu mitowi? W każdym razie po raz pierwszy w życiu brak poczucia własnej wartości pozwala mu w ogóle odczuć, że wartości istnieją. Jest to utwór nie o zbrodniarzu, ale o człowieku, który po prostu chciał żyć. Okazało się jednak, że nie jest to wystarczająca racja bytu w świecie ludzkim, będącym światem wartości. Co więcej, nie tylko życie powinno mieć uzasadnienie, ale także i śmierć. Żyd w **„Zwycięstwie"** żałuje, że nie ma nic do niepowiedzenia i że umrze za nic. Pojawia się też problem granic odpowiedzialności, granic, które trudno wyraźnie zakreślić.

W **„Krajobrazie, który przeżył śmierć"** chce żyć Żydówka, którą ukrywają znajomi, ale oni także chcą żyć. Zrobili dla niej sporo, ale przecież za mało, żeby ją ocalić. **„Można było uratować tę kobietę, chociaż — kto wie, czy nie za cenę naszego życia...."**.

To „chcę żyć" najsilniejsze jest może w rzeczywistości obozowej. Krytycy zwracali uwagę na to, że w opowiadaniach obozowych Filipowicza dominuje codzienność. Dodać warto, że ta codzienność robi właśnie najbardziej upiorne wrażenie na zasadzie zderzenia ze współczesną świadomością, która zarówno obóz koncentracyjny jak wojnę uważa za stan wyjątkowy. Była to przecież codzienność unikania cudem śmierci, tyfusu, codzienność walki o chleb i papierosy, wyboru między śmiercią swoją i śmiercią innego. W opowiadaniach tych występuje niekiedy narrator o wyraźnie ograniczonej świadomości, ograniczonej przez to, że jest ze środka obozu, że, podobnie jak to bywa u Borowskiego, swoje dawne normy moralne zostawił z drutami. Tak jest np. w opowiadaniu **„Nasz blokowy Hans Muffke"**, które spotkało się z zarzutami niektórych krytyków (dobry blokowy?). Ograniczenie świadomości narratora jest tu jednak narzędziem gorzkiej ironii. „Porządny" Hans Muffke tylko bije, ale nie zabija, lubi sobie „pogadać" i „pożartować" z więźniami na apelu, robi dobre dowcipy opowiadając niektórym, że zostaną rozstrzelani, choć to nieprawda. Przymiotnik „porządny" oczywiście funkcjonuje w obozowym cudzysłowie, a efekt polega na zderzeniu tego określenia z potocznym rozumieniem tzw. „porządnego człowieka".

Smutno-ironiczna jest historia dr Meyera, który w obozie tworzy encyklopedię, aby zachować i odtworzyć z niej zburzony od podstaw świat. Ironiczna jest **„Egzekucja w ZOO"**. Dyrektor Eikene nie jest w zasadzie ani rasistą, ani militarystą. Od dziesięciu lat należy do partii, bo kocha zwierzęta i **„gotów był zrobić wszystko, aby zapewnić sobie i swoim zwierzętom spokojne życie"**. Niemcy przegrywają wojnę i przychodzi rozkaz likwidacji ZOO. Dyrektor Eikene jest wstrząśnięty. Wiadomość, że przy okazji zastrzelono jakiegoś Polaka, kwituje krótkim „Ach, tak". Egzekucja w ZOO jest tragiczna — bo los ludzki, którego doznają zwierzęta, uczłowiecza je. Jest zarazem ironiczna w kontekście rozpaczy dyr. Eikene. Ironia wyziera także z każdego zdania o-powieści o panu Nietsche, prawdopodobnie byłym zbrodniarzu wojennym, który podlewa kwiatki.

To też jest jego codzienność, ale nad tą codziennością krąży cień zbrodni, podobnie jak codzienności obozowej zagraża kataklizm. Filipowicz często zestawia dla kontrastu drobne, zwyczajne wydarzenia z byłym lub zagrażającym kataklizmem. W **„Dniu poprzedzającym"** w zakończenie dnia poprzedzającego wojnę, dnia pełnego opisanej drobiazgowo krzątaniny, wdziera się jako pointa ręka trzymająca pistolet. W opowiadaniu **„Pyłek w oku"** więźniowie długo i troskliwie wyjmują koledze pyłek z oka, zanim odejdzie z plutonem egzekucyjnym. Świat wojny jest zamknięty — nie ma z niego ucieczki. Nawet wtedy, gdy fizycznie jest ona możliwa. Maciek w mikropowieści **„Jeniec i dziewczyna"** ucieka w góry z młodą Szwajcarką, ale jest ona dla niego przede wszystkim obca i szczęśliwy jest naprawdę, kiedy wraca do kolegów i wspólnej niedoli.

Podsumowaniem opowiadań wojenno-obozowych jest **„Sen, który mnie czasem, coraz rzadziej, nawiedza"**. Znowu następuje zderzenie kataklizmu z codziennością, tyle że w odwrotnym kierunku. Człowiek, któremu się śniło, że nie może zdążyć na plac apelowy, budzi się i musi iść do sklepu po bułki. Pozornie jest to bardzo osobiste wyznanie pisarza (to właśnie Filipowicza wzywają na plac apelowy), a staje się skrótem i uogólnieniem doznań powojennego pokolenia. W **„Trzech kobietach z obozu"** powojenna codzienność staje się zarazem szczęściem i bólem — życie posuwa się naprzód drobnymi kroczkami, pękają dawne więzy, rozwiewają się złudzenia, niektórym zostaje tylko pełna wspomnień samotność. Los bohaterek staje się losem pokolenia. Podobnie jest w **„Profilach moich przyjaciół"**. Zniknięcie bez śladu Klementyny jest zniknięciem epoki (całej epoki w jednym życiu), która się w nią wcieliła — w tę Klementynę subtelną, konwencjonalną, uczuciową. Filipowicz znakomicie, poprzez szczegóły, podchwytuje pewien „sposób bycia", w postępowaniu, sylwetkach bohaterów i tle, na którym się poruszają, dostrzega stereotypy. Bywają to stereotypy prowincjonalne, potraktowane z ironią i sentymentem (**„Romans prowincjonalny"**, **„Moja kochana, dumna prowincja"**), bywają też stereotypy wojenno-konspiracyjne, jak w opowiadaniu o biednym chłopcu, który przez ubiór i sposób zachowania chce się dostać do „wyższej sfery", a w czasie wojny pragnie się nobilitować poprzez śmierć godną oficera i tylko jednego nie chce zdradzić w chwili śmierci — swojego pochodzenia.

Inne przykłady to pamiętnik młodej dziewczyny z mikropowieści **„Mężczyzna jak dziecko"** — stereotypy funkcjonujące w umyśle młodej dziewczyny i jej sposobie wypowiadania się, stereotypy młodej sprzedawczyni na dorobku (**„Doxa"**), młodzieńca urodzonego w niedzielę (**„Poczta Główna"**). Ludzie próbują wyrwać się z kręgu tych stereotypów i najczęściej ponoszą klęskę. Nie jest to jednak klęska pisarza. Filipowicz, w miarę swojego pisarskiego rozwoju, przełamywał własne i nie tylko własne stereotypy. Droga jego prowadziła, można by powiedzieć, od ilości (stron) do jakości. Napisał dwie powieści, każdą w dwóch częściach (**„Nauka o ziemi ojczystej"**, **„Niepokój młodego serca"**) utrzymane w konwencji powieści neopozytywistycznej. Szeroki rozmach epicki jednak wyraźnie mu nie służył. Powieści skurczyły się do mikropowieści (**„Pamiętnik antybohatera"**, **„Romans prowincjonalny"**, **„Jeniec i dziewczyna"**, **„Ogród pana Nietsche"**, **„Mężczyzna jak dziecko"**) i krótkich opowiadań zebranych w 10 tomikach. Sylwetki bohaterów i ich sprawy stawały się coraz mniej jednoznaczne, znikały niepotrzebne kropki nad „i". Świat stawał się coraz mniej zrozumiały, coraz bardziej rozbity na atomy. Dojrzewająca świadomość artystyczna stanęła między pisarzem a światem. Pozostały mu tylko słowa.

Fot. Henryk Szoka

się szlachetne zamierzenia, jest mierne aktorstwo. Również i w Jeleniej Górze odczuwa się brak utalentowanych wykonawców. Większość aktorów zdradza poważne niedomogi dykcji i wady wymowy oraz niewielką dyscyplinę w operowaniu innymi środkami wyrazu. Co prawda do każdego spektaklu angażowano specjalnie „konsultanta słowa", ale nie daje to jeszcze widocznego, a raczej słyszalnego efektu. Natomiast większą sprawność udało się osiągnąć w zakresie ruchu i gestu scenicznego. Zespół zawdzięcza ją głównie Henrykowi Tomaszewskiemu, który zamierza i w następnym sezonie współpracować z Teatrem Dolnośląskim.

Nazwisko Tomaszewskiego pojawia się tu nie bez powodu. Świadczy ono o staraniach dyrekcji jeleniogórskiej sceny, zmierzających do uświetnienia afisza głośnymi nazwiskami. Wydaje się, że ta tendencja wyrasta z przekonania, iż trudniej zwrócić na siebie uwagę kreacjami aktorskimi, za to łatwiej zapewnić teatrowi sukces zapraszając znanych i modnych reżyserów i scenografów. I znów wypada zapytać o rezultaty tych poczynań. Przypatrzenie się dorobkowi bieżącego sezonu nasuwa wiele wątpliwości co do słuszności przyjętej zasady.

Jeśli prace Tomaszewskiego (wespół z Kazimierzem Wiśniakiem), choć dyskusyjne, budzą szacunek z powodu próby wzbogacenia sztuki dramatycznej środkami zaczerpniętymi z pantomimy, to przedstawienia Krzysztofa Pankiewicza, reżysera i scenografa w jednej osobie, przynoszą niewątpliwą szkodę polskiemu teatrowi. Zrealizowane przez niego „Zemsta" i „W małym dworku" zawierają cały zestaw środków, którymi z takim upodobaniem szafują współcześni inscenizatorzy. A więc pełno jest w nich szmat, perwersji seksualnej, brutalności, bezładu żywych zwierząt itp. W dodatku użytych niecelowo, bez smaku i jakiejkolwiek dyscypliny. Ponieważ jednak spektakle te przygotował renomowany twórca, publiczność jeleniogórska przyjmuje je z dobrą wiarą w przekonaniu, iż ma do czynienia z nowoczesną, awangardową sztuką. Jakże dojrzale artystycznie wydają się na tym tle warsztaty studenta Wydziału Reżyserii PWST, Grzegorza Mrówczyńskiego, wyreżyserowane fachowo i skromnie, bez ulegania modnemu komunałowi teatralnemu. W jego przedstawieniach — co warte odnotowania — najbardziej przyzwoicie prezentował się też zespół aktorski.

Pod koniec kwietnia br. Teatr Dolnośląski przeżywał swoje wielkie dni. Otrzymał imię Cypriana Norwida, oraz święcił jubileusz 60-lecia pracy artystycznej Zuzanny Łozińskiej, związanej z Jelenią Górą od prawie 30 lat. (W latach 1947—1950 pełniła funkcję dyrektora, a w latach 1950—1954 kierownika artystycznego Teatru Dolnośląskiego). Jubilatka wystąpiła z wielkim powodzeniem w roli Aasy w „Peer Gyncie", świetnie sobie radząc ze skomplikowanymi zadaniami akrobatycznymi, jakich nie szczędził jej reżyser.

Teatr Dolnośląski im. Cypriana Norwida ma wszelkie szanse, by wyłamać się wzorem innych — z prowincjonalnej anonimowości. Wydaje się jednak, że powinien on ponownie, z głębszym namysłem, rozważyć sposoby, jakie mają mu przysporzyć laurów.

ANNA KULIGOWSKA

OCZEKIWANIE NA SYNTEZY

Po próbach tworzenia wielkich dziejowych syntez, częstokroć nie opartych o niemal żaden materiał źródłowy, bądź uzasadnianych jedynie przy pomocy wybiorczo traktowanych przykładów, dokonał się w naszej historiografii polskiego ruchu robotniczego zwrot do prac bardziej szczegółowych, nieraz analitycznych, coraz lepiej opartych o wszechstronną eksplorację bogatego zakresu źródeł. Jest to zjawisko naturalne w rozwoju badań, chociaż czasem prowadzi do wynaturzeń, w postaci rozpraw, poświęconych tematom rzeczywiście błahym, czy w postaci nieudolności warsztatowej historyków, przejawiającej się w przedrukowywaniu in extenso odnajdywanych przez nich materiałów. Dopiero na podstawie badań szczegółowych, które obejmują problemy znane i nieznane, stanie się możliwe stworzenie pełnej, wszechstronnej naukowej syntezy, nad którą pracuje się już w środowisku badaczy polskiego ruchu robotniczego.

Prace z tego zakresu mają u nas znaczenie nie tylko naukowo-poznawcze; odbijają się szerokim echem wśród wielu czytelników, prowokują do ostrych nieraz dyskusji, które ukazują się na łamach prasy, by wspomnieć niedawne spory o ocenę dorobku poszczególnych nurtów naszego ruchu robotniczego toczone na łamach „Polityki", słowem zajmują ważne miejsce we współczesnej świadomości Polaków. Tym większa jest odpowiedzialność historyków – badaczy, tym bardziej winni oni liczyć się z odbiorcą swych dzieł, uwzględniać jego zainteresowania i pasje, choć nie sposób oczywiście wymagać, by nauka ograniczyła swoje zadania li tylko do hołdowania im. Winna jednak zaspokajać poznawcze pragnienia czytelników, a więc podejmować nie tylko tematy ważne ze względów badawczych, lecz również te, choćby mniej interesujące dla uczonych, które cieszą się zainteresowaniem szerszych kręgów społecznych. I dlatego pomimo wszystkich sukcesów naszej historiografii, bardziej z owych społecznych względów może, niż ściśle poznawczych, niepokoi brak całościowych opracowań poszczególnych partii robotniczych, nurtów polskiego ruchu robotniczego takich, które zbierałyby w jednym zwartym, ale udokumentowanym tomie to wszystko, co można dziś powiedzieć o SDKPiL, PPS czy innych organizacjach. Monografie dotyczące dziejów tej czy innej partii „w latach" – jak to zwykle widnieje na karcie tytułowej – zwłaszcza, kiedy ów zakres czasowy jest wąski, nieraz zaś i krąg problemowy zawężony do jednego tylko ośrodka (np. Łodzi), nie spełnią tej roli, jaką mogłyby odegrać poważne, całościowe ujęcia monograficzne o charakterze syntetycznym, nie mówiąc już o wszechstronnej syntezie.

W ostatnich latach zaznaczył się zwrot zainteresowań ku dziejom nowszym i najnowszym. Można powiedzieć, że w tym zakresie zrobiono już wiele, że znacznie więcej jest do zbadania na innych obszarach, ale będzie to tylko częściowo uzasadniona replika. W gruncie rzeczy poza monumentalną monografią Wielkiego Proletariatu pióra zmarłego już L. Baumgartena, którą tu i ówdzie należałoby dziś skorygować i uzupełnić, nie mamy właściwie opracowań dotyczących całości dziejów innych wczesnych organizacji. Na przykład: dzieje II Proletariatu nadzwyczaj rzadko przyciągają uwagę badaczy i wciąż musimy się zadowalać tym, co powiedzieli o nich L. Kulczycki (Mazowiecki) w swej „Historii ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim", ogłoszonej w 1903 r., czy F. Perl (Res) w jakże cennych „Dziejach ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim do powstania PPS", opublikowanych po raz pierwszy w roku 1910. Podobna sytuacja do wczoraj jeszcze dotyczyła dziejów Związku Robotników Polskich, organizacji, równie krótkotrwałej, jak istotnej dla zrozumienia narodzin masowego ruchu robotniczego na ziemiach polskich.

Właśnie ukazała się obszerna, licząca 500 stron książka Feliksa Tycha, opatrzona tytułem: „Związek Robotników Polskich 1889–1892. Anatomia wczesnej organizacji robotniczej" (KiW 1974). Monografia zasługująca na naszą szczególną uwagę zarówno ze względu na przedmiot jak i jego ujęcie przez autora.

Książka F. Tycha jest dziełem niezmiernie ambitnym, zapewne najdonioślejszym w całym dorobku autora. Naskorkowemu i uproszczonemu traktowaniu historii ruchu robotniczego, jako – jak to kiedyś złośliwie powiedziano – historii krążenia elit, historyk przeciwstawił nowoczesną monografię z szeroko pojmowanej historii społecznej. Starał się – z powodzeniem – „pokazać ruch takim jakim był, z jego autentycznymi bohaterami, zarówno tymi, którzy przetrwali najgorsze i dalej kontynuowali walkę, jak i tymi, którzy nie wytrzymywali nacisku ogromnej machiny państwowej wszechpotężnego, zdawałoby się, wroga i odchodzili z czasem od aktywnego udziału w ruchu. Zmierzał do tego, aby określić wkład ZRP do „historii samookreślenia klasowego proletariatu polskiego i jego walk społecznych", wkład który okazuje się wybitniejszym, niż to niekiedy sądzono.

Wypadnie jeszcze wrócić do tej książki w bardziej szczegółowych rozważaniach, choćby ze względu na to, że znajdujemy w niej nowy, oparty, o szerszy zakres źródeł, niż te, które niegdyś wyzyskał A. Próchnik, opis słynnego „buntu łódzkiego" z 1892 r. Niewątpliwie niektóre tezy autora sprowokują dyskusję, niektóre jego oceny z czasem ulegną korekturze i tak dalej. Ale książka ta pozostanie symptomem świadczącym o znacznym unowocześnieniu warsztatu naszej historiografii ruchu robotniczego.

LEKTOR

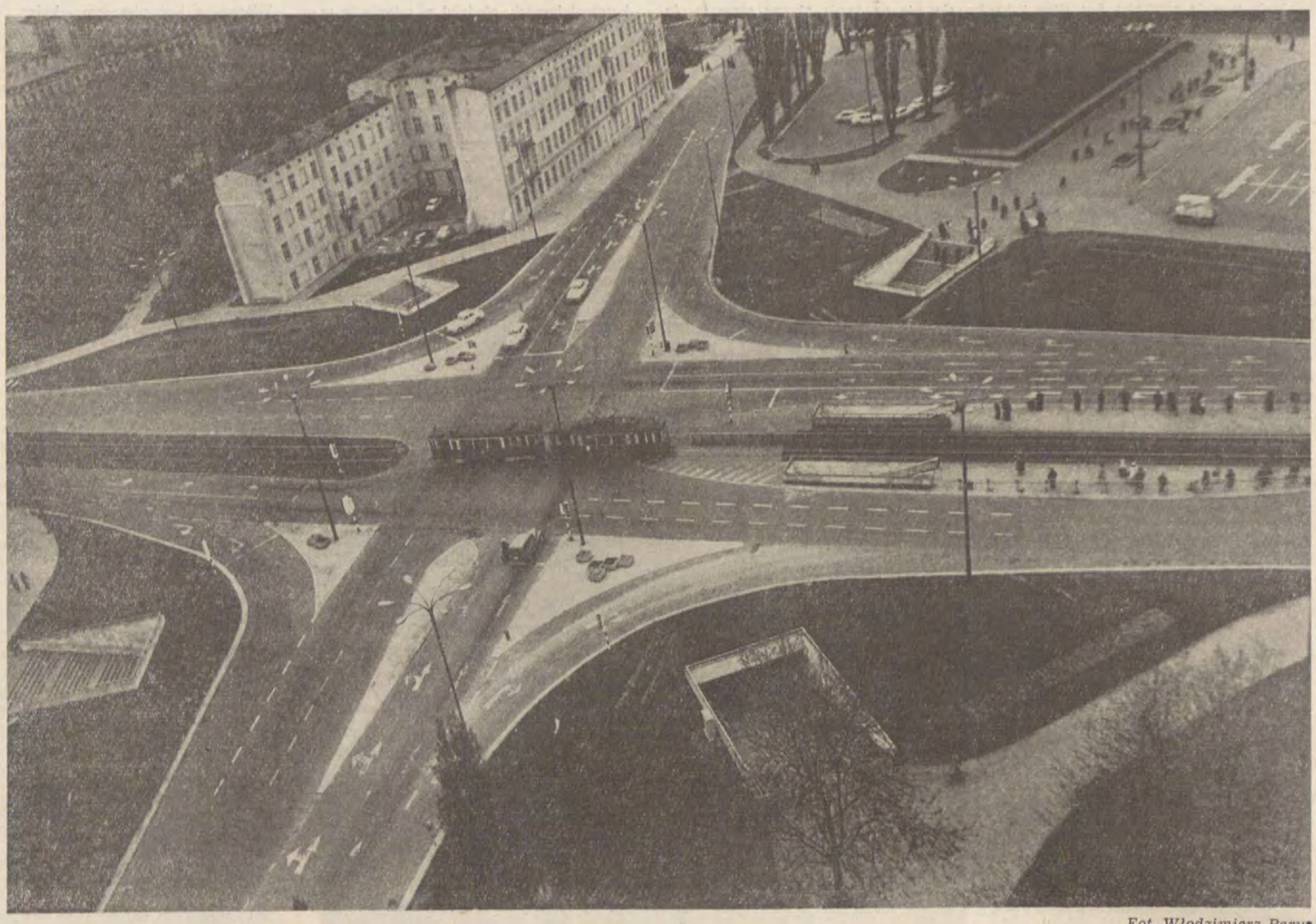

Fot. Włodzimierz Parys

PRZEPIS NA BEZPIECZEŃSTWO

Z zastępcą dyrektora Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi – mgr inż. ANDRZEJEM KOMANEM – rozmawia Józef Potęga.

— Poruszanie się po Łodzi, szczególnie w centrum miasta, nie jest ani najłatwiejsze, ani... bezpieczne. A liczba pojazdów rośnie szybko. Coraz szybciej...

— Przez wiele lat problemy właściwej organizacji ruchu w mieście nie znajdowały właściwego i kompleksowego rozwiązania. Brak było zrozumienia ich ważności, a pieniądze przeznaczone na te cele były dość skromne i to zmuszało do rozwiązywania tylko tego, co uznawano za najpilniejsze. Teraz jest inaczej.

— A konkretne przykłady.

— Zaczynijmy od spraw organizacyjnych, które mają tu podstawowe znaczenie. Powołaliśmy Oddział Bezpieczeństwa Ruchu przy Zarządzie Dróg i Mostów. Zajmuje się on ustawianiem, malowaniem, konserwacją wszelkiego rodzaju znaków drogowych i sygnałów. Jest więc wreszcie specjalistyczna placówka, w której można zgromadzić i odpowiednio przeszkolić personel, rozdzielić siły i środki i w ten sposób podjąć konkretne działania zgodnie z wszelkimi „zasadami sztuki".

— Czy są takie zasady? Wiadomo przecież, że przepisy istniejące w tym względzie nierzadko stwarzają warunki do dość dowolnej interpretacji...

— W ubiegłym roku Polska podpisała międzynarodową konwencję w sprawie organizacji ruchu drogowego i oznakowania ulic, tzw. konwencję wiedeńską. Wprawdzie pracuje się dopiero nad skorygowaniem polskich przepisów i zarządzeń tak, by korespondowały one z zasadami przewidzianymi w tej konwencji, ale my te zasady znamy i w wielu wypadkach opieramy się na nich. Wystąpiliśmy zresztą w ubiegłym roku do Ministerstwa Komunikacji z łódzkimi propozycjami zmian w obowiązujących dziś przepisach o ruchu drogowym i jego organizacji. Także uwzględniając międzynarodowe przepisy.

— W ruchu drogowym jest sporo miejsc kolizyjnych. Są one takimi z natury rzeczy. Na przykład skrzyżowanie...

— Na dobrą sprawę prawo nie precyzuje szczegółowo, co się zalicza do obszaru skrzyżowania. Jest to problem w dużej mierze teoretyczny, jednakże o wielkim znaczeniu praktycznym.

— Zostawmy to może teoretykom. Mam inną wątpliwość. Wiele dyskusji budzi termin: „teren zabudowany". Taki, na którym należy zmniejszyć szybkość do 50 km na godz., taki, na którym nie wolno używać świateł drogowych....

— Dyskusja w tej sprawie trwa. Powiedzmy sobie jednak z całym naciskiem: to, o czym tu mówimy, są to tylko i wyłącznie propozycje, rozważania teoretyczne, które zostaną kiedyś tam uwzględnione w nowym kodeksie drogowym, albo nie zostaną uwzględnione. Mówię o tym, aby nie było jakichkolwiek prób interpretowania konkretnych sytuacji w myśl omawianych tu postulatów. Obowiązują bowiem określone przepisy — prawo jest prawem, nawet jeżeli jest niezbyt doskonałe!

Wracając jednak do sprawy „terenu zabudowanego". Dziś rozumie się pod tym pojęciem taki stan rzeczy, gdy co najmniej trzy zabudowania mieszkalne stoją obok siebie nie dalej niż w odległości 15 m od krawędzi jezdni.

— Jadąc samochodem trudno jest ustalić, czy to już jest „teren zabudowany", czy jeszcze nie...

— Zdajemy sobie z tego sprawę. I dlatego proponujemy, aby pod tablicą z nazwą miejscowości, np. przy przekraczaniu granicy m. Łodzi umieścić znak określający dozwoloną na całym terenie miasta szybkość, a więc 50 km na godz. Zaś na tych odcinkach dróg i ulic, gdzie ze względów na bezpieczeństwo można jechać szybciej, lub wolniej, ustawiać dodatkowe znaki określające taką prędkość. Postulujemy też, by autobus miejski, odjeżdżający z przystanku i włączający się do ruchu korzystał z przywileju pierwszeństwa. Jest to także zgodne z zasadami międzynarodowej konwencji.

— Będzie to wymagać dodatkowych znaków drogowych i dodatkowych nakładów finansowych...

— ...ale straty społeczne, obliczane także w złotówkach, spowodowane wypadkami na drogach są chyba jeszcze wyższe...

— Tego się u nas w ten sposób, niestety, jeszcze nie przelicza.

— Za naszymi poczynaniami kryje się, w gruncie rzeczy, taki właśnie sposób rachowania. Zastanówmy się ile kosztuje państwo, a więc nas wszystkich, jeden ranny w wypadku ulicznym: straty w produkcji, koszty leczenia, odszkodowania, a wreszcie ludzkie cierpienie, kalectwo, śmierć...

— Często ofiarami wypadków drogowych są ludzie ułomni, albo starsi, ci, którzy nie potrafią jeszcze czy też już poruszać się prawidłowo i sprawnie w warunkach wielkomiejskiego ruchu.

— Przepis dziś obowiązujący przewiduje, że np. niewidomi mogą mieć specjalne oznaki, uprzedzające o ich kalectwie, w postaci żółtej opaski z trzema czarnymi punktami. My zaś proponujemy, aby obowiązkowo nosili oni jakieś widoczne z daleka, elementy sygnalizujące kierowcom, iż mają do czynienia z ludźmi niepełnosprawnymi.

— To może budzić sprzeciw...

— Wobec ogromnego, narastającego ruchu na drogach i ulicach należy odrzucić względy emocjonalne. Liczymy w tym względzie na pomoc społeczną, szczególnie rodzin tych osób.

— Przejścia dla pieszych są powodem nie kończących się dyskusji: kto ma pierwszeństwo, kto komu powinien ustąpić, pieszy pojazdowi czy pojazd pieszemu?

— Dyskutanci w tym sporze zajmują stanowisko zależnie od tego, gdzie się aktualnie znajdują: pieszo na ulicy, czy „za kółkiem" swego pojazdu. Uważamy, że wprowadzenie bezwzględnej zasady, iż na przejściu pieszy ma pierwszeństwo, doprowadziłoby do zablokowania ruchu pojazdów na wielu ulicach. Szukamy innego rozwiązania. Oczywiście w przyszłości nie do pomyślenia jest w wielkim mieście sytuacja, kiedy ruch pieszy będzie sąsiadował o krawężnik z ruchem kołowym. Potrzebne są dwupoziomowe skrzyżowania, pod- lub nadziemne przejścia dla pieszych, potrzebne jest oddzielenie chodników od jezdni choćby tylko pasem zieleni... Ale to wymaga kosztownych inwestycji i dlatego może być programem na przyszłość.

Wcześniej można zorganizować przejścia dla pieszych wyposażone w sygnalizację świetlną, taką jaką stosuje się na zwyczajnych skrzyżowaniach. Zbudowano ją np. przy „Uniwersalu" na Placu Niepodległości. Będzie zbudowana przy przejściu koło ZPB im. 1 Maja na Widzewie i w innych miejscach, gdzie jest duży ruch pieszych przekraczających jezdnię. „Elester", który konstruuje i buduje szafy do elektronicznego sterowania sygnalizacją uliczną, dostarczy m.in. aparaturę umożliwiającą ręczne włączanie sygnału umożliwiającego przejście przez jezdnię, wyposażonego wszakże w zabezpieczenie uniemożliwiające chuligańskie zabawy z taką sygnalizacją.

— Wiele kłopotów sprawia kierowcom wcześniejsze zorientowanie się, z jakim typem skrzyżowania mają do czynienia: czy jest to skrzyżowanie dróg równorzędnych, czy też przecznica jest podporządkowana...

— Każde skrzyżowanie musi być oznakowane w sposób dokładny, jasny i czytelny. I tak jeżeli przed skrzyżowaniem nie ma żadnego znaku — jest to skrzyżowanie ulic równorzędnych. Ulice z pierwszeństwem przejazdu będą wyraźnie oznaczone „rombem". Pamiętajmy jednak, że cały czas mówimy o programie, jaki chcemy zrealizować. Jeszcze w wielu przypadkach nie ma tego na ulicach.

— Będzie to wymagać zmiany organizacji ruchu w mieście...

— Zaczęliśmy to robić. Zleciliśmy odpowiednie studia i oczywiście zaczniemy, czy raczej... zaczęliśmy od centrum.

— Tu, gdzie sytuacja jest najtrudniejsza...

— ...i gdzie nie można liczyć na jakieś rzeczywiście radykalne zmiany w sensie np. poszerzenia ulic, np. Piotrkowskiej.

— I co wobec tego?

— Trudno sobie wyobrazić, że wąskie ulice centrum będą mogły służyć jako trasy przelotowe. Wyobrażamy sobie, że te z nich, na których w ogóle dopuszczony będzie ruch kołowy, służyć będą wyłącznie dojazdom do domu, albo do pracy, bez możliwości przelotów...

— Na tak radykalne rozwiązanie jeszcze chyba za wcześnie.

— Na tak radykalne — być może jeszcze za wcześnie, ale z pewnymi w tym duchu rozwiązaniami nie można już dłużej czekać... Chcemy np. wprowadzić zasadę, od której mogą być oczywiście nieliczne wyjątki, iż ulice stanowiące trasy autobusów miejskich będą mały pierwszeństwo przejazdu. Będziemy także, dla pełnego bezpieczeństwa ruchu, nawet dublować znaki, aby wykluczyć możliwość takiego przypadku, że kierowca znaku nie zauważył.

— Ta zasada, choć na pozór wygląda nieco „rozrzutnie", w praktyce niewątpliwie podniesie bezpieczeństwo na jezdniach. Są — jak sądzę — także inne przypadki, gdy potrzebne są w warunkach wielkiego miasta i jego ciasnych ulic, dodatkowe znaki. Na przykład przed ulicą z zakazem wjazdu przydałby się znak: „Zakaz skrętu w prawo", albo „Zakaz skrętu w lewo", tak, aby nie rozpoczynać tego manewru tam, gdzie za rogiem nie będzie wjazdu.

— Będziemy to stosować, aby kierowca wcześniej wiedział, aby był uprzedzony, jaki manewr może wykonać. Będziemy np. na tych skrzyżowaniach, które były przedtem inaczej oznakowane, ustawiać znaki ostrzegawcze. Jeżeli jedna z ulic była dawniej podporządkowana, ustawimy znak „Skrzyżowanie dróg równorzędnych" tak, by przez kilka tygodni ci kierowcy, którzy, niestety, jeżdżą „na pamięć", zachowali tu ostrożność.

— A co ze światłami mijania? Dyskusje przycichły, na ogół większość kierowców po zmroku i w czasie mgły honoruje tę zasadę...

— Postulowaliśmy, wzorem zagranicy, jej rozszerzenie. Np. w Szwecji, nawet w dzień, w czasie lekkiej mgły, obowiązuje zasada, bardzo energicznie egzekwowana, iż należy używać świateł mijania. A po zmroku tym bardziej...

— Co to znaczy „lekka mgła" — to dość nieprecyzyjne określenie...

— To znaczy wówczas, gdy tylko pojawi się jakakolwiek mgła, w jakikolwiek sposób, chociażby nieznaczny, pogarszająca widoczność. Oni tam uważają i słusznie, że nigdy nie można być dość ostrożnym, i że lepiej stosować pewne środki „na wyrost".

— Mówił Pan tutaj o wielu zamierzeniach, bardzo pożytecznych i interesujących, które chcecie wprowadzić w Łodzi. Kiedy to nastąpi? W przeszłości także sporo w tej dziedzinie planowano, ale rzadko dochodziło do pełnej realizacji.

— Dziś — jak mówiłem — sytuacja jest diametralnie różna. Mamy warunki dla realizacji naszych przedsięwzięć, opartych o opracowania specjalistów. Spotykają się one ze zrozumieniem władz miejskich. Dlatego będziemy mogli jeszcze w tym roku wprowadzać nowy, nowoczesny sposób organizowania ruchu, a co się z tym wiąże i oznakowania ulic, najpierw w śródmieściu Łodzi. W innych dzielnicach — w ciągu dwu następnych lat. W lutym br. opracowaliśmy i opublikowaliśmy własną „Tymczasową instrukcję o znakach drogowych", ustalającą, jak i gdzie i w jaki sposób mają być one instalowane. Współpracujemy z przemysłem dla wyprodukowania odpowiednio lekkich sygnalizatorów, które będzie można zawieszać na wysięgnikach lub linach nad skrzyżowaniami, albo nad pasami ruchu, „Elester" pracuje nad elektronicznym wyposażeniem dla sygnalizacji. Ruszyło się...

— To pozwala mieć nadzieję, że „eksplozja motoryzacyjna", której się spodziewamy, nie „zakorkuje" nam miasta i nie będzie dla nas chorobą śmiertelną...

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

„MORGEN" — Berlin

W roczniku statystycznym Republiki Federalnej Niemiec za rok 1973, bez przeszkód rozpowszechnianym zarówno w RFN, jak i poza jej granicami, zamieszcza się materiały jawnie odwetowe. Na pierwszej stronie tego oficjalnego wydawnictwa widnieje mapa Niemiec w granicach 1937 roku. Zachodnie granice Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i ZSRR nazywa się „wschodnimi rejonami rzeszy niemieckiej". W objaśnieniach do mapy redaktorzy rocznika piszą: „Od Morza Północnego i Bałtyku na północy po Alpy na południu, od Reńskich Gór Łupkowych na zachodzie po Wzgórza Pruskie we Wschodnich Prusach i Wyżynę Śląską na wschodzie — rozpościerają się Niemcy". Berlin Zachodni jest oznaczony w roczniku — jako jedenasty związkowy kraj RFN. Czytając rocznik wydawany przez Urząd Statystyczny RFN można by sądzić, iż Bonn nie zawierało umów z ZSRR, PRL i NRD, w których uznano stałość powojennych granic w Europie i że nasz kontynent wciąż jeszcze tkwi w okowach „zimnej wojny". Aż trudno uwierzyć, że publikacja ta ukazała się w momencie, kiedy w Genewie rozstrzyga się problemy umocnienia europejskiego bezpieczeństwa i współpracy.

„DAGENS NYHETER — Sztokholm

Gaullizm umarł wraz z gen. de Gaullem. Odtąd Francją rządzi nowa generacja technokratów politycznych. Wykształcona, uzdolniona, efektywna, arogancka, ale bez własnego zdania, została ona stworzona do utrzymania w ruchu kół maszyny socjalnej, ale nie do jej zmiany. Trudno znaleźć ludzi porywających się na niesprawiedliwość charakteryzującą społeczeństwo francuskie: eksploatację cudzieziemskich robotników. spekulację ziemią. niehumanitarną urbanizację, ciężkie warunki życia ludzi starszych, coraz gwałtowniejszy wir konsumpcji i produkcji, system nauczania zastrzeżony dla elity, brutalność policji itd. Słowem, na to wszystko, co składa się na społeczeństwo francuskie, jedno z najbardziej bezwzględnych, które w konsekwencji jest też najbardziej zamkniętym społeczeństwem świata zachodniego.

„THE GUARDIAN" — Londyn

Finaniści szwajcarscy są zakłopotani działalnością pewnych instytucji amerykańskich na terenie Szwajcarii. FBI robi naciski o uchylenie tradycyjnej szwajcarskiej tajemnicy bankowej, pragnąc zdemaskować amerykańskich podatników oraz przemytników, którzy składają ogromne sumy na konta banków szwajcarskich. CIA wykorzystuje dyskrecję szwajcarską do zatajania swojej działalności w Szwajcarii i uniknięcia zainteresowania obcych służb kontrwywiadowczych jak również określonych amerykańskich urzędów administracyjnych. Bankierzy szwajcarscy przyznają, że CIA spekuluje w Zurychu na rynku złota. Pewnym swym „szanownym korespondentom" z różnych stron świata amerykańskie służby wywiadowcze płacą złotem. Oczywiście skarb amerykański mógłby bezpośrednio opłacać współpracowników CIA, jednakże Centralna Agencja Wywiadowcza zazdrośnie strzeże swej niezależności i swoich tajemnic i woli sama dysponować własnym funduszem unikając w ten sposób kontroli rządu.

„STERN" — Monachium

Rudolf Hess, który skończył niedawno 80-ty rok życia, odsiaduje 33 rok więzienia. Po uwolnieniu Alberta Speera w 1966 roku, „stary adiutant Hitlera" jest ostatnim i jedynym więźniem Spandau. Jego pobyt w więzieniu kosztuje podatników zachodnioniemieckich około miliona marek rocznie. Więźnia strzegą kolejno Rosjanie, Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy, wymieniając się co miesiąc. Straż wojskowa składa się z oficera i 37 żołnierzy. Niezależnie od tego w skład cywilnego personelu więzienia wchodzą: dyrektor więzienia, strażnicy, tłumacze, kucharze i ekipa lekarska. Każdego ranka Hess wydaje „polecenia kulinarne" żądając takiego lub innego menu na śniadanie, obiad i kolację. Kiedy źle śpi w nocy musi iść do pielęgniarza. W wolnych chwilach czyta książki. Nie chce przyznać się do swoich błędów i uparcie pozostaje „wierny swemu fuhrerowi". Dyrekcja więzienia utrzymuje, że Hess „wydaje się być zadowolony ze swego losu".

ARMAND HAMMER - PODEJRZANY AMERYKANIN

Każdego ranka o godzinie ósmej trzydzieści wiceprezydent „Chase Manhattan Bank", Alfred Wantworth, żegna się z żoną i opuszcza obszerne mieszkanie w domu przy Prospekcie Lenina. Za pięć dziewiąta wysiada z samochodu przed moskiewskim hotelem „Metropol" i punktualnie o dziewiątej jest już w swoim biurze, zajmującym całe drugie piętro hotelu. Należy w tym miejscu wyjaśnić, iż Związek Radziecki zaproponował bankowi „Chase Manhattan" otworzenie stałego przedstawicielstwa banku w Moskwie. „Chase" propozycję przyjął.

Wantworth, podobnie jak tysiące innych biznesmenów, rozpoczyna dzień pracy od przeglądu informacji handlowych. Później przyjmuje płynących nieprzerwanym potokiem amerykańskich przemysłowców, szukających porady z kim należy załatwić taką lub inną sprawę, jak zawrzeć umowę w Moskwie, czy też gdzie można się spotkać z radzieckimi partnerami. Wantworth ma nieraz tak wypełniony dzień, że brak mu czasu na obiad. Parę godzin dziennie zajmują mu konferencje, powołanej niedawno, radziecko-amerykańskiej izby handlowej. Chociaż szef „Chase" kończy pracę w biurze o siedemnastej trzydzieści, to jednak ważne spotkania handlowe zajmują mu częstokroć cały wieczór.

Zdumiewająco wiele kompanii USA stara się sprzedać swoją produkcję Związkowi Radzieckiemu i innym krajom naszego obozu. Oprócz „Chase Manhattan", stałe przedstawicielstwa w Moskwie otworzyły także „General Electric", „International Harvester", „Pullman" i z pół tuzina innych gigantycznych korporacji amerykańskich, które niegdyś można było zaliczyć do wrogów Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych. Mnóstwo amerykańskich biur handlowych jest rozsianych po krajach wschodniej Europy. Ogólny eksport z USA do socjalistycznych krajów Europy (za wyjątkiem Jugosławii) osiągnął w ubiegłym roku 1,9 miliarda dolarów. W porównaniu z 820 milionami dolarów w 1962 roku i 380 milionami w 1971 roku, dynamika rozwoju tego eksportu jest wprost zdumiewająca.

Podczas gdy senat Stanów Zjednoczonych rozpatruje problemy rozszerzenia handlu między Wschodem i Zachodem, amerykańscy biznesmeni z wielkim zadowoleniem nawiązują kontakty z krajami socjalistycznymi. Liderzy biznesu twierdzą, iż rozbieżności w systemach politycznych i przekonaniach nie powinny stać na drodze do rozwoju rzeczowych stosunków ekonomicznych między narodami. Steven Lasarus, zastępca ministra handlu USA uważa, że rozwój stosunków handlowych ze Wschodem obiecuje niemałe korzyści. „Nasi biznesmeni — mówi Lasarus — są pełni optymizmu".

W konsekwencji, chociaż Stany Zjednoczone pojawiły się na arenie znacznie później od zachodniej Europy i Japonii, to jednak już w minionym roku stały się głównym handlowym partnerem Związku Radzieckiego. Dzięki handlowi ze Wschodem, przeżywająca nielekkie czasy ekonomika amerykańska poprawia swój bilans płatniczy, a nawet ma możność powstrzymania wzrostu bezrobocia w przemyśle.

„Kiedy komuniści — pisze jeden z amerykańskich komentatorów politycznych — w sytuacji kryzysu energetycznego w USA przyczyniają się do tworzenia nowych miejsc pracy dla Amerykanów, kiedy David Rockefeller robi w Moskwie pieniądze, kiedy Armand Hammer proponuje stworzyć w stolicy radzieckiej ośrodek handlowy i Rosjanie aprobują tę myśl, starzy bojownicy „zimnej wojny" znaleźli się w ślepym zaułku; nie mogą zrozumieć co się na tym bożym świecie dzieje".

Rozwój handlu amerykańskiego ze Wschodem, będący elementem procesu rozładowania napięcia międzynarodowego, rozpoczął się po zmniejszeniu ograniczeń na eksport z USA do krajów socjalistycznych. Dyplomatyczne nasiona posiane w czasie wizyty prezydenta Nixona w Moskwie w maju 1972 roku, wydały plony 18 października tegoż roku, kiedy oba kraje podpisały serię szeroko zakrojonych umów w sprawie taryf, kredytów, wymiany osiągnięć technologicznych i inne. Ale kiedy umowy trafiły do Kongresu, stały się powodem do prób przeciwdziałania radzieckiej polityce wewnętrznej i międzynarodowej. W grudniu ub. roku państwowy projekt ustawy o handlu przeszedł wreszcie przez Izbę Reprezentantów, ale przeszedł z poprawką warunkującą udzielenie kredytów oraz klauzuli największego uprzywilejowania temu lub innemu krajowi, zgodą tego kraju na zmianę systemu wyjazdów obywateli za granicę. Jeśli Senat przyjmie projekt ustawy z tą poprawką, wniesioną przez Jacksona, prezydent zgłosi veto i debaty zaczną się od nowa. A tymczasem około 70 amerykańskich kompanii otrzymało zamówienia na sumę ponad 200 milionów dolarów na dostawę urządzeń do ogromnej fabryki samochodów ciężarowych nad Kamą. Analogiczne kontrakty na wielką skalę będą, być może, zawarte w związku z budową gigantycznej fabryki traktorów w Czeboksarach.

Przemysłowiec, Armand Hammer, podpisał z ZSRR kontrakty na sumę 8 miliardów dolarów. Chodzi tu o produkcję nawozów sztucznych, a także o eksploatację przez „Occidental Petroleum" i dwie inne firmy amerykańskie złóż gazu ziemnego we Wschodniej Syberii. Gaz zostałby doprowadzony do miast amerykańskich na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Trzy inne firmy amerykańskie są gotowe eksploatować złoża gazu ziemnego w Zachodniej Syberii, w który można by zaopatrywać miasta na atlantyckim wybrzeżu USA. Jednakże perspektywy wspomnianych kontraktów są dość mroczne, gdyż Kongres może zablokować 2-miliardową pożyczkę państwową, niezbędną do realizacji tych wielkich projektów.

Kraje socjalistyczne mają poważny stosunek do handlu z Zachodem i dążą do stworzenia dobrych warunków współpracy. Nawiązują z Zachodem liczne kontrakty handlowe, widząc sens w rozwoju długotrwałych stosunków ekonomicznych ze swymi zachodnimi partnerami.

Niektóre przedsiębiorstwa krajów socjalistycznych z powodzeniem lokują swe wyroby na rynkach zachodnich. Na przykład przedsiębiorstwo radzieckie „Nafta-oil" buduje sieć stacji obsługi samochodów w Belgii, a w Anglii funkcjonuje już ponad 250 takich stacji z czarno-żółtym znakiem „Nafty". Węgierskie przedsiębiorstwo „Medicop Limited" sprzedaje w zachodniej Europie swoje znakomite przyrządy medyczne. Znaną czeską markę „Skoda" znów widać na sprzęcie mechanicznym w krajach Zachodu, a Rumunia wybudowała sieć restauracji w Republice Federalnej Niemiec.

„Tu i ówdzie — pisze publicysta „The New York Times Magazine", Harvey Shapiro — zastanawiają się w Stanach czy w takim wypadku kraje socjalistyczne, korzystając z zachodniej technologii i kapitałów, nie ulegną zachodniej ideologii! Prof. Philip Gillet z uniwersytetu w Kalifornii odpowiada: przypuszczenie, że komuniści sprzedadzą swoją ideologię za partię obrabiarek jest tak samo naiwne, jak przypuszczenie, iż amerykańscy biznesmeni udający się na Wschód powracają stamtąd jako komuniści".

W Stanach Zjednoczonych rozwój handlu między Wschodem i Zachodem wzbudza duży niepokój wśród antykomunistów twardej głowy. Wspomniany dopiero co publicysta amerykański przytacza zabawny fakt: na pewnym spotkaniu towarzyskim pomocnik przewodniczącego komisji do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego po kilku kieliszkach szepnął mu na ucho: „A jednak w przeszłości tego Hammera musi coś być"...

Jednakże, jeśli pominąć twardogłowych rycerzy „zimnej wojny", wyniki badań opinii publicznej wskazują na pozytywny stosunek w Stanach Zjednoczonych do rozładowania napięcia i rozszerzania kontaktów handlowych ze Wschodem.

Liderzy różnych amerykańskich organizacji nacjonalistycznych, zimnowojennych i antykomunistycznych próbują wykorzystać zainteresowanie krajów naszego obozu eksportem z USA dla własnych celów. Wywierają więc, i nie bez skutku, presję na rząd USA, żeby uzależnił przyznanie krajom socjalistycznym klauzuli największego uprzywilejowania od określonych zmian w ich polityce wewnętrznej. Naiwne mrzonki zaślepionych „polityków" z bożej łaski wywołują niezadowolenie nawet w wielkoprzemysłowych kołach USA. W odpowiedzi na te majaczenia, biznesmeni, jak na przykład William Norris, prezes zarządu kompanii „Control Deuta" mówi otwarcie, iż kraje wschodnioeuropejskie wcale nie muszą liczyć na amerykańskie towary przemysłowe, ponieważ to samo mogą kupić w innych krajach zachodnich. Które zresztą — dodajmy od siebie — tylko na to czekają. Ponadto trzeźwi przemysłowcy amerykańscy uważają, iż rozszerzanie handlu Wschód—Zachód jest jednym z niezbędnych warunków rozładowania napięcia politycznego. Jest to oczywiste i takie stanowisko zajmuje Związek Radziecki.

David Rockefeller i inni liderzy wielkiego biznesu wyrażają pogląd, że przeciwnicy rozszerzania tych stosunków handlowych stawiają wszystko na głowie, ponieważ właśnie wielka objętość obrotu towarowego prowadzi do osłabienia napięcia międzynarodowego. Armand Hammer, ten sam, którego „przeszłość" budzi niepokój zastępcy przewodniczącego komisji do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego z powodu jego miliardowych kontraktów handlowych ze Związkiem Radzieckim, wyraża przekonanie, iż handlowe więzy ze Wschodem są najpewniejszą drogą do osiągnięcia trwałego pokoju.

JERZY CZECH

- RZĄD NRF BEZ BRANDTA
- ROZWODY A... POLITYKA
- KTO JEST FAWORYTEM?

Wiadomość o ustąpieniu Brandta z urzędu kanclerskiego obiegła świat jako wydarzenie dużej wagi. Wprawdzie jednostki wywierają na politykę zagraniczną tylko ograniczony wpływ, gdyż jest ona zawsze funkcją ogólniejszych tendencji, jednak pytanie: kto i jak będzie realizować wypracowany kierunek pojawia się w takich sytuacjach zawsze. Nie można więc tego pytania nie postawić obecnie, kiedy nieoczekiwanie Brandt podał się do dymisji. Piszemy „nieoczekiwanie", gdyż mimo gwałtownych ataków opozycji w ostatnim okresie, trudno było przewidzieć taki finał.

Ustąpienie Brandta ze stanowiska kanclerza — nadal natomiast pozostanie on przewodniczącym partii, aby, jak oświadczył przed kamerami telewizyjnymi, „ze wszystkich sił pracować dla polityki, która służy ludziom i pokojowi" — nie kładzie oczywiście kresu rządów koalicji SPD — FDP. Więcej, przedstawiciele obu koalicyjnych partii oświadczyli, że **utworzenie nowego gabinetu nie będzie oznaczało zmian także w programie rządowym.** Potwierdza to, że koalicja skutecznie odpiera ataki opozycji, która chciałaby wprowadzić zamęt w życiu politycznym i nie wypuszcza steru rządów ze swych rąk.

Jak wiadomo z doniesień agencyjnych, na stanowisko kanclerza desygnowany został H. Schmidt, a 16 maja dowiemy się, czy obejmie on przewodnictwo rządu i jaki zaproponuje jego skład. Z informacji, które do tej pory napłynęły z Bonn, wynika, że Schmidt zamierza ograniczyć liczebność gabinetu, a tekę ministra Spraw Zagranicznych powierzyć Genscherowi.

Zasługą rządu Brandta—Scheela jest przede wszystkim to, że **włączył on NRF do polityki odprężenia.** Układy, jakie zostały zawarte z krajami socjalistycznymi, odegrały już pozytywną rolę w rozwoju sytuacji międzynarodowej. To wszystko sprawiło, że Brandt, jak mówił na V Kongresie ZBoWiD Edward Gierek, **„zdobył sobie duży szacunek** w opinii publicznej. **Sądzimy** — podkreślił I sekretarz KC PZPR — **że rząd NRF będzie kontynuował ten pozytywny kurs".**

Obecnie dwie sprawy są najważniejsze: konsekwentna realizacja zawartych układów oraz doprowadzenie do zakończenia Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, której trzecia faza powinna potwierdzić zasady pokojowego współistnienia. **Nowy rząd NRF i nowy prezydent,** bo dziwnym zbiegiem okoliczności zmiany te następują w tym samym czasie,*) **mogą wnieść swój wkład.**

Tak też rozumie sytuację opozycja CDU/CSU, która wysunięcie kandydatury H. Schmidta przyjęła z rozczarowaniem, że „od przyszłego rządu federalnego nie będzie można oczekiwać nowej, rokującej większe nadzieje polityki". Wypowiedź ta jest znamienna, jest jeszcze jednym potwierdzeniem, że **przywódcy CDU/CSU myślą wciąż o zmianie linii polityki zagranicznej NRF.**

Nowy rząd NRF z pewnością nie będzie miał łatwej sytuacji. Ale H. Schmidt, jak się pisze niekiedy „cień Brandta", pełniący dotąd funkcję wiceprzewodniczącego SPD i ministra finansów, jest podobno jednym z najsprawniejszych organizatorów i kierowników A że koalicja rządowa dysponuje w Bundestagu przewagą 46 głosów — nowa ekipa nie powinna mieć trudności z przeforsowaniem swojej polityki.

Miniona niedziela przyniosła **referendum we Włoszech,** a najbliższa rozstrzygnie, **kto zostanie prezydentem Francji.** Na tych dwóch tematach chcemy jeszcze zatrzymać uwagę czytelników.

Włoskie referendum pozornie nie ma z polityką nic wspólnego — dotyczyło uchylenia lub pozostawienia w mocy obowiązującego od ponad 3 lat ustawodawstwa rozwodowego. Jednak chadecja traktowała referendum **jako rozgrywkę polityczną** z komunistami, choć Włoska Partia Komunistyczna nigdy nie stawiała sprawy rozwodów jako najważniejszej dla kraju. Po prostu chadecy, zaniepokojeni wzrostem wpływów WIPK, próbowali rozbić jedność lewicy laickiej i katolickiej i tym samym zagrodzić komunistom drogę do władzy. W takich to okolicznościach wmieszano rozwody do polityki.

Referendum — jak wyraził się Pietro Nenni — „cofa nas o jeden wiek i poniża w opinii cywilizowanych narodów".

Dokładnych jego wyników w chwili pisania tych słów nie znamy. Wiadomo jednak na pewno, że chadecji jej zamysł nie powiódł się.

I ostatni temat przeglądu — wybory prezydenckie we Francji.

Pierwsza tura przebiegła zgodnie z oczekiwaniami — przyniosła największą ilość głosów Mitterrandowi, ale nie zapewniła mu wyboru. W szranki o fotel prezydencki stanie on z Giscardem d'Estaing, który zdystansował Chaban-Delmasa nieoczekiwaną ilością głosów. **Szanse dwóch pozostałych na placu boju kandydatów są prawie wyrównane,** tym bardziej, że ok. 15 proc. wyborców, którzy głosowali na byłego premiera, teraz zamierza swymi głosami wesprzeć kandydata lewicy. Mimo to **sondaże raczej wskazują na ministra finansów jako na faworyta.**

Przypomnijmy, że w tej turze wyborczej nie jest już wymagana bezwzględna większość głosów (50 proc. plus 1) i prezydentem zostanie ten, kto osiągnie choćby najmniejszą przewagę nad przeciwnikiem.

W. SŁAWSKI

*) Bundestag wybiera prezydenta 15 maja. Jak wiadomo kandyduje Walter Scheel.

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

WIOSENNE MARZENIA

Dawno już stwierdzono, że wiosenna aura sprzyja marzeniom. Niech więc i te refleksje popłyną na fali marzeń. Nie chodzi mi wszakże o marzenia na temat domku z ogródkiem czy królewny z bajki... Chodzi mi o marzenia wydawnicze, marzenia, którym wyraz dawałem zresztą niejednokrotnie.

Okazuje się jednak, że owe marzenia zdają się być równie nierealne, co wizja królewny z bajki.

Nie wpadajmy jednak w pesymizm, pozwólmy popłynąć marzeniom. Oto w łódzkiej oficynie wydawniczej podjęto inicjatywę serii książek, związanych z tradycjami literackimi Łodzi. Rozpoczyna serię „Opisanie Łodzi" Oskara Flatta. Niestety. To tylko marzenie. Rzeczywistość jest bardziej smutna. Co prawda łódzcy bibliofile proponowali opracowanie książki Flatta, ale nikt się tą inicjatywą nie zainteresował, nikogo nie obchodzi, że książka — dokument z połowy XIX wieku mówiąca o tym mieście — właściwie nie istnieje.

Marzy mi się też dwutomowa edycja — powtórzenie pierwodruków obu powieści: „Bawełny" Kosiakiewicza i „Ziemi obiecanej" Reymonta, wzbogacona historyczno-literackim esejem na temat związków obu książek i malującym tło wydarzeń dwu pierwszych powieści o Łodzi.

Powie ktoś, że się grzebie w literackich starociach, że tradycji literackiej miasta nie są te książki potrzebne.

Co w takim razie potrzebne jest tradycji literackiej Łodzi? Potrzebny jest może zapis „złego miasta", trudu robotnika, nędzy czynszówek i „familiołów?" Oczywiście, że jest potrzebny taki zapis.

Na giełdach bibliofilskich książeczka Bartkiewicza osiąga cenę kilkuset złotych. Bowiem i ta książka funkcjonuje wyłącznie jako legenda literacka — w rzeczywistości po dwóch wojnach nakład pierwodruku został doszczętnie zniszczony.

Funkcjonuje także wyłącznie jako legenda słynna „Kultura Łodzi" Ludwika Stolarzewicza. Oczywiście nie jest tajemnicą, że książka to w sporej części bałamutna, że wiele zjawisk nie notuje wcale, wiele natomiast honoruje absolutnie ponad miarę. Wydana była zresztą w określonej epoce, finansowana przez określone koła — nic więc dziwnego, że jest odbiciem kultury takiej, jaka wówczas istniała i takim jest odbiciem, jakie wówczas chciano widzieć.

Niemniej jednak jest to jedyna jak dotąd książka, która próbuje dać jakąś syntezę kultury w tym mieście. Podobnej książki jakoś się w Łodzi nie dopracowaliśmy przez lat trzydzieści. Owszem, istnieje mnóstwo bardziej lub mniej ciekawych publikacji dotyczących teatru, literatury, prasy... Są to jednak głównie prace przyczynkarskie lub monograficzne na bardzo wąskie tematy. Wśród tych pozycji są opracowania znakomite, których wartości nie sposób przecenić. Choćby monografia Zygmunta Gostkowskiego o „Dzienniku Łódzkim", choćby prace teatrologiczne Stanisława Kaszyńskiego, czy Edwarda Kozikowskiego „Łódź i pióro", albo Konrada Frejdlicha antologia reportażu łódzkiego.

Ale — powtarzam — nie ma w dalszym ciągu wielkiej, syntetycznej pracy o kulturze Łodzi. Pracy, która zamykałaby w sobie całość łódzkiej tradycji kulturalnej.

Więc kolejne marzenie. Oto rozpoczęto pracę nad takim właśnie dziełem. Oto za czas niedługi, staną w księgarskiej witrynie te potężne tomy sumujące łódzką kulturę na przestrzeni lat.

Niestety. Czekają swojej kolejki jakieś przyczynkarskie opracowania. Nie twierdzę, że będą to książki niepotrzebne. Ale mogą one funkcjonować tylko obok prac syntetycznych, całościowych. Nigdy natomiast nie mogą takich publikacji zastąpić. Powtarzam — mogą istnieć obok, nigdy zamiast.

Ale co tu marzyć. Cenna praca — właśnie syntetyczna — na temat łódzkiej architektury fabrycznej, napisana przez Irenę Popławską, ukazała się... w Warszawie, w wydawnictwie PWN.

Ostatnio natomiast dowiaduję się, że ukażą się dwie pomnikowe i dokumentalne pozycje dotyczące literatury w Łodzi. Z funduszów Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi. Jest to akcent optymistyczny, kończący te wiosenne refleksje.

A z okazji Dni Książki życzę Wydawnictwu Łódzkiemu wiele pomyślności i dobrego samopoczucia.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

ZWADA NAD PRZYCIASNĄ MOGIŁA

Rodzina skupiła się u wezgłowia i zastygła w pochyleniu, aby wysłuchać ostatnich słów konającego, lecz Jan D., którego trzymały się od miesiąca „kaprysy Łazarza", szarpnął się w śmiertelnej pościeli i wydudnił:

— A parszywce, sukinkoty! Nasłuchujeta, czy jeszcze dycham, a kartofle do sadzenia dotąd nie przebrane!

— Ojciec i tak nie będzie już pyrków sadził, więc nie ma się co pieklić — mruknął syn Franek.

— Nie prorokuj, ino skocz po ćwiartkę, bo zapisu nie będzie!

Matka, Zofia D., odepchnęła syna od łóżka, a synowa, Maria D., szepnęła mężowi do ucha, żeby skoczył po tę ćwiartkę, bo jak nie będzie zapisu, to będzie rozwód!

Wszyscy mieli już dosyć starego, a najbardziej córka Grażyna, która ojciec wydziedziczył i zakazał wstępować w ojcowskie progi. Za to, że przybiegała co rusz z sąsiedniej wsi, gdzie była wydana za mąż, i warowała przy łóżku chorego, narażając go swoją czułością na różne przykrości. Raz, kiedy ojciec po wypiciu ćwiartki, o czym nie wiedziała, dość twardo przysnął, wetknęła mu w dłonie palącą się gromnicę i kapiący wosk poparzył mu palce, a drugim razem niepotrzebnie wezwała sąsiada, który zaszpachlował „nieboszczykowi" usta mydłem i napędził strachu, wymachując nad nim brzytwą.

Wszyscy jednak skakali wokół Jana D., który we wsi Z. uchodził za jednego z pierwszych gospodarzy, a że liczył lat 76, przeto wydawało się, że 8 ha gruntu wraz z zabudowaniami, tudzież 4 krowy i para koni rychło zmienią właściciela. Stary jednak odgrażał się, że dziedzicem uczyni najmłodszego syna, Bolka, pobierającego nauki w szkole ponadpodstawowej w Łodzi, jeśli „miejscowi" nie będą mu jak trzeba dogadzać.

Dlatego też Franek szybko obrócił z ćwiartką, ale w sprawę wplątała się matka, oświadczając, że nie pozwoli ta gorzałą wpychać własnego męża do grobu. Synowa zaoponowała, twierdząc, że takiego zgryźliwego dziada nie zabije nawet zajzajer, lecz teściowa uparła się i wódkę ochrzciła, nadwyżkę zaś wypiła za zdrowie konającego, do spółki z synem zresztą.

Jan D. strzelił jedną szklaneczkę, drugą, a kiedy wyciągnął trzecią, skrzywił się okropnie i jak nie wrzaśnie z łoża boleści:

— To wy, sukinkoty, parszywce, na ostatnią drogę woda mnie szprycujecie? Nie będzie zapisu, urywajta sobie łby po mojej śmierci. Ja wam tak dogryzę, że cały powiat (skierniewicki — przypisek J. G.) się dowie!

Nikt sobie nie wziął tych słów specjalnie do serca, nikt też nie przypuszczał, że przepowiednia niebawem się spełni. A tymczasem Jan D. pewnej nocy, kiedy wszyscy uderzyli w twarde kimono, wylazł w łóżka i zaczął grzebać w szafie. Natrafiwszy na nowy, czarny garnitur śmiertelny, zaklął szpetnie, bo pojął, że na ten garnitur bez jego woli sprzedano świnię, której chrzakania nie mógł się ostatnio dosłyszeć. Obłóki więc żałobny przyodziewek i zakradł się do spiżarni, gdzie było już sporo żywnościowych zapasów na Wielkanoc oraz kilka butelek wódki, według jego mniemania przeznaczonych na stypę. Zachichotał więc złośliwie i zabrał się do degustacji...

Rankiem w obejściu D. rozległ się lament, który rozszerzył się na całą wieś. Na pomoc przybyła obsada posterunku MO w G., przeczesano zagajnik i dwa płytkie stawy, lecz Jana D. nie znaleziono. W tym rejwachu, pełnym jęków, najgorszych przeczuć i rodzących się w sąsiadach okrutnych podejrzeń wszyscy zapomnieli o śniadaniu, toteż kiedy Zofia D. weszła do spiżarni, aby przygotować coś na ząb, padła zemdlona, albowiem ujrzała tam zaplątanego w świąteczne kiełbasy męża, a przy jego piersi dwie przewrócone półlitrówki...

Tu powinien nastąpić żartobliwy happy-end, ale tego nie będzie, albowiem Jan D. nie żył... Wdowa, po ocuceniu, uderzyła w szloch, lecz najszybciej, bez płaczu działała synowa Maria, która natychmiast zaangażowała dwóch sąsiadów do obrządków przy zmarłym. A że pewna była wraz z mężem przejęcia majątku, oni wszakże byli prawdziwymi gospodarzami, przeto z uciechy uraczyła gospodarzy wódką. Jeden mył, golił zmarłego, a drugi go mierzył. Franciszek D. pojechał z miarką do miasta i przywiózł trumnę. I wtedy okazało się, że nieboszczyka nie da się wepchnąć do tej trumny, bo był źle, po pijanemu, zmierzony. Syn pojechał więc po drugą jesionkę.

Wreszcie odbył się pogrzeb, ale uroczystość popsuli grabarze, którzy (tak się jakoś złożyło) byli już po trzecim pogrzebie i chwiało nimi, a poza tym też źle wymierzyli, bo z kolei grób był za krótki i trumna stanęła na sztorc. Kiedy więc zaczęli szarpać linkami, trumna puściła, nieboszczyk wysypał się z niej i urwały mu się guziki u marynarki. Wtedy dopadła go córka Grażyna i szarpiąc odsłoniętą koszulę na jego piersi, jęła krzyczeć:

— O, wy kutwy, wy łachudry zatracone! Niech ludzie wiedzą, coś ta za jedne! O Boże, Boże kochany, mnie do gospodarki nie dopuszczą, a staremu pod nowy garnitur wepchnęli zdartą koszulinę, jakby se biedak nie zasłużył na lepszą!

Tej zniewagi nie zdzierżyła Maria D. i wpiła się pazurami w trwałą ondulację szwagierki: wodząc się za łby potraciły wieko trumny i wraz z nim pogrzebały się w przyciasnej mogile, narażając na pośmiertelne obrażenia Jana D.

W tym momencie nie zdzierżył również szwagier Bogdan L. i nazwał Marię D. bezwstydną k....., co nawet miejsca świętego ani zwłok nie potrafi uszanować. Franciszek D. zaprotestował, więc dali sobie po razie, po czym wyrwali z rąk grabarzy szpadle i byłby nastąpił profanacji ciąg dalszy, lecz na szczęście do akcji rozjemczej przystąpili liczni zgromadzeni żałobnicy.

Był to, zgodnie z przepowiednią Jana D., najgłośniejszy pogrzeb w powiecie, tym bardziej, że akcja przeniosła się z cmentarza do sądu, gdzie rodzina D. oraz liczni żałobnicy wskutek apelacji przeżywali uroczystości po trzykroć.

Teraz we wsi Z. mówią, że przez ochrzczoną wódkę, nowy garnitur i starą koszulę można stracić nie tylko najdroższą osobę, ale i kupę forsy na adwokatów.

JAN GONTAL

LEWYM OKIEM

SIEDZĄC NA ŁAWCE

Moda jest czynnikiem irracjonalnym i przeciwstawiać się modzie byłoby porywaniem się z lancą na wiatraki. Można się tylko zdumiewać, że w naszym zracjonalizowanym świecie, opętanym techniką i jej ścisłymi rygorami, istnieje i bujnie się panoszy enklawa kpiąca sobie z wszelkich praw wideł rozsądku i umiaru, że ludzie bez szemrania poddają się najdziwniejszym prądom i pomysłom.

Hołdowanie modzie nie jest niczym złym, proszę bardzo, urozmajcajmy sobie życie na wszelkie możliwe sposoby. Chyba jednak wolno wtrącić do tego tematu parę uwag z pozycji starszego pana, siedzącego w słoneczną niedzielę na ławce w ruchliwej alei, którą defiluje świąteczny tłumek?

Nagle nasze ulice zaroiły się od dziewcząt w bajecznie kolorowych sutych spódnicach do samej ziemi. Zestawy kolorów wręcz fantastyczne, aż oczy bolą. Ilość zużytej tkaniny na jedną taką spódnicę wystarczyłaby na trzydzieści mini-spódnic. Najważniejsze jednak, że w takiej szacie wygląda się efektownie wyłącznie pod warunkiem, że się kroczy pomalutku, wytwornie, z tak zwanym niedbałym wdziękiem i gracją. To właśnie dlatego toalety balowe i w ogóle „wielkie toalety" (grande tenue) były zawsze powłóczyste, długie, wymyślne. Przy nerwowym tempie naszych ulic, w wieczornym pośpiechu, w tłoku, w ścisku — te powłóczyste szaty stają się absolutnym dysonansem, okręcają się paskudnie wokół bioder i nóg, pętają nogi, nie pozwalają poruszać się w sposób naturalny.

Sytuację pogarsza fakt, że dziewczyna ma na nogach drewniaki, trzymane jednym palcem, a za to o grubości ośmiu centymetrów. Żal na to patrzeć, na te kaleki, chcące za wszelką cenę podobać się — sobie! Słowo daję, że w takich butach i takich spódnicach nie można poruszać się ładnie, może przed lustrem, w postawie nieruchomej, to wygląda frapująco, ale nie na ulicy.

Przez kilkadziesiąt lat przedmiotem karykatur i dowcipów były krynoliny, gorsety i tiurniury naszych babek, patrzyliśmy na tamtoczesne zdjęcia jak na monstra. Aleśmy przecie nasze babki zakasowali!

Oto idzie blondynka w szerokich majtasach do pół łydki, w bluzce z taakim dekoltem, w czerwonym szaliku zawiązanym na włosach.

Oto druga — w spodniach obcisłych tak, że ledwie obie połówki pupci mogą się w tym jakoś poruszać. Spodnie są przy tym pooszywane zielonymi i żółtymi serduszkami, wytarte na kolanach do białości, na samym dole rozszerzone w kryzę, zakrywającą całą stopę. Epatant!

Oto trzecia w mini-mini, sięgającej mniej więcej do połowy pośladków. Właściwie to ona nie ma już na sobie prawie nic, wyeksponowała się do końca, jak niedoświadczony żołnierz na wysuniętej placówce, który nie dba o rezerwy i o drogę ewentualnej zmiany pozycji. Na rysunku w „Karuzeli" do tak „ubranej" dziewczyny mówi jej brodaty partner: „zdaje się, że coś przede mną ukrywasz..." To jest oczywiście ironia partnera, bo ona właśnie nic nie ukrywa. Jeżeli jest zgrabna, a ma i dużo zgrabnych pensjonarek, to człowieka aż szyja boli.

Grubachne, poliuretanowe, sękate podeszwy bucików podnoszą poziom żeńskiej (a także w niewielkim procencie męskiej) części populacji, ale chodzić w tym nie jest ani łatwo, ani przyjemnie. Mamy jeszcze kapleusze, kapelusiki i kapeluszyska, małe czapeczki z daszkiem i ronda o pół metra średnicy. Mamy torebki zawieszone na ramieniu, traperskie torby z frędzlami i koszyki różnego kształtu. Mamy pasy jak kurdyjscy partyzanci, łańcuchy żelazne i sznury konopne z miedzianą klamrą wielkości talerza. To są indywidualne kombinacje, moda bowiem jest właśnie taka: rób co chcesz, a chciej zwłaszcza nosić spódnicę do ziemi w ukośne pasy i zamiatać nią nasiąkłe benzyną sadze.

Wcale się nie gorszę i nie oburzam. Bardzo mi się podoba eklektyczność mody, jej generalne przyzwolenie na najróżniejsze style i fasony. Trochę się tylko podśmiewam, boć trudno nie pokpić sobie nieco z wynaturzeń, chwytanych i demonstrowanych przez nie najlepsze gusta i zbyt gorące głowy. I żałuję, że już mi nie przystoi zafundowanie sobie zielonego, aksamitnego fraka i koszuli z żabotami. Raz włożyłem coś takiego na siebie w teatralnej rekwizytorni i podobałem się jednej pani. Ale cóż — to było dawno.

ĆWIEK

ANI NAJLEPIEJ, ANI NAJGORZEJ

W niedzielę kolarze przyjechali na metę ostatniego polskiego etapu w Szczecinie. Obyło się w tej części wyścigu bez wielkich emocji, bez wielkich ucieczek, jakby kolarzom najlepiej jechało się w jednej wielkiej grupie. Dla telewidzów, którzy mogą śledzić tylko ostatnie kilometry kolarskich zmagań, jedyną atrakcją była walka o trzy pierwsze miejsca. Dla mnie najciekawsze w transmisji telewizyjnej były rozmowy z polskimi zawodnikami, a szczególnie ze **Stanisławem Szozdą.** Nasz wicemistrz świata mówi mało, ale smacznie. Po jednym z etapów, zapytany stereotypowo jak się czuje odpowiedział: **„Nie czuję się najlepiej, ale nie czuję się najgorzej".** Podobnie można by powiedzieć o dotychczasowej jeździe polskiej drużyny.

Po Gorzowie Wielkopolskim Polacy założyli błękitne koszulki a **Tadeusz Mytnik** — żółtą. Wprawdzie w Szczecinie odrobinę umocnili swoje pozycje, ale też różnice między nimi, a rywalami były niewielkie. We wtorek rozpoczęła się dalsza walka i każdy etap może przynieść, przy tak małych różnicach, kolejne przegrupowania. Kolarze NRD zechcą na pewno pokazać się jak najlepiej przed swoją publicznością, nie przypuszczam, aby kolarze CSRS również nie pokusili się o etapowe sukcesy. A przecież są i inni dobrzy. W historii Wyścigu Pokoju zdarzały się już i takie przypadki, że drużyna niemal zupełnie pewna ostatecznego zwycięstwa spadała niespodziewanie na dalsze miejsca. Do dziś chyba wszyscy pamiętamy fatalny dla Polaków etap z Łodzi do Warszawy. Ale były to czasy brawurowych ucieczek.

Tegoroczny Wyścig Pokoju — jak do tej pory — jest nie tylko rywalizacją mięśni, ale przede wszystkim założeń taktycznych. Każdy zawodnik w każdej drużynie ma swoje określone zadanie, które musi realizować, aby jego drużyna wypadła najlepiej. I o dziwo niemal wszystkim to się udaje. Wszystkim — to znaczy tym najlepszym. Holender Smit założył sobie, że ubierze się we fiolet. W niedzielę na trasę Gorzów Wielkopolski — Szczecin specjalnie przyjechała ekipa telewizji holenderskiej, aby pokazać swego najlepszego. I Smit nie zawiódł, wygrał obie premie i w Szczecinie odebrał fioletową koszulkę radzieckiemu zawodnikowi Pikkuusowi.

Monotonia walki taktycznej wpłynęła również na naszych sprawozdawców telewizyjnych. Znudzili się Wyścigiem Pokoju już na samym jego początku, ale w gruncie rzeczy to ich osobista sprawa. Telewidz ma prawo jednak oczekiwać od swoich sprawozdawców rzetelności i dobrej informacji. Tymczasem nasi sprawozdawcy ciągle czegoś nie widzą i w rezultacie o tym, co się dzieje na trasie, którą przecież obserwują, dowiadują się za pośrednictwem informacji przekazywanych na stadionie. Doszło już do tego, że w Szczecinie chwalili organizatorów, posługujących się krótkofalówkami, skarżąc się, że sami takich nie posiadają. Nie jestem pewna, czy pomogłyby im krótkofalówki. Red. Koziorowski, który miał do dyspozycji własne oczy, przez długi czas nie mógł dojrzeć żółtej koszulki Tadeusza Mytnika, a już zupełnie nie potrafił ocenić przebiegu walki na finiszu. Trzeba było pomocy komisji sędziowskiej, aby mógł się zdobyć na własne zdanie.

Wyścig Pokoju trwa. Miejmy nadzieję, że i nasi sprawozdawcy telewizyjni zdążą jeszcze złapać dobrą formę, bo jak na razie najlepiej komentują walkę na trasie sami zawodnicy, wypowiadający się przed kamerami.

BOGDA MADEJ

LISTY POETÓW

Po pięknym, wydanym parę lat temu, tomiku korespondencji Tuwima z Gałczyńskim, mamy nową ciekawostkę literacką. Oto wydana przez PIW korespondencja między Tuwimem a Staffem z lat 1911—1953. Czterdzieści lat przyjaźni dwu poetów zawarte na ulotnych kartkach listowego papieru.

Zaczęło się od listu łódzkiego gimnazjalisty do uznanego już poety z prośbą o pozwolenie na przekład paru wierszy Staffa na język esperanto. Tak zaczęła się korespondencja, która rychło przekształciła się w przyjaźń. Już po wojnie Tuwim był inicjatorem obchodów jubileuszu Staffa, dzięki niemu sędziwy poeta mógł wrócić do Warszawy.

Piękny ten i wzruszający przyczynek do przyjaźni dwu wybitnych poetów współczesności opracowali Tadeusz Januszewski, Irena Maciejewska i Janusz Stradecki. Listy uzupełniono garścią tuwimowskich wierszy napisanych pod wpływem Staffa, wspomnieniem Tuwima i urokliwymi dedykacjami na książkach.

Leopold Staff i Julian Tuwim „Z tysiącem serdeczności", PIW, cena 35 zł.

KARL DEDECIUS

Karla Dedeciusa czytelnikowi przedstawiać nie trzeba. Bardzo dawno przecież polska krytyka literacka dostrzegła w Niemczech to fenomenalne zjawisko translatorskie i Karl Dedecius ma w Polsce bardzo dobrą prasę. Jest zresztą przykładem, jak dobrze można służyć kulturze dwu bliskich mu narodów. A Dedeciusowi bliska jest kultura polska, bo tu spędził dzieciństwo i tu, w Łodzi, w gimnazjum im. Stefana Żeromskiego robił maturę w roku 1939. Swoją ogromną i wprost fenomenalną pracą przekładową służy Polsce i służy Niemcom. Polskiej kulturze i kulturze niemieckiej.

Dotychczas wydał ponad trzydzieści książek i opublikował niezliczoną ilość pozycji poświęconych polskiej literaturze — rozsianych w czasopismach i wydawnictwach zbiorowych.

Ale Karl Dedecius działa nie tylko jako tłumacz. Działa także jako eseista i pisarz. W ostatnim czasie ukazały się dwie jego książki: „Niemcy i Polacy" — o kontaktach literackich i kulturalnych na przestrzeni wieków oraz „Notatnik tłumacza", będący przeglądem teorii przekładu w jej historycznym rozwoju.

Karl Dedecius „Notatnik tłumacza", Wyd. Literackie, cena 30 zł.

WIECZORY WARSZAWSKIE

Nowa książka Pawła Hertza to obszerny zbiór szkiców i notatek warszawskich. Zebrano tu w jeden tom publikacje rozsiane po innych książkach, po czasopismach — stanowią sumę „prozy warszawskiej" pisarza.

Jest to lektura pasjonująca, urzekająca wrażliwością widzenia codziennych spraw, mówiąca o przeszłości i dniu dzisiejszym, pełen szczególnego uroku dokument miłości pisarza do miasta, do historii. Jeszcze jeden tom urokliwych varsavianów, których stolica ma tak wiele, a których nigdy nie za wiele.

W posłowiu swej książki Paweł Hertz pisze: „...zwierzchnia warstwa faktów i realiów notowanych kiedyś na gorąco, ma dziś wartość dokumentalną. Jak zawsze więc o znaczeniu tych tekstów rozstrzygnie ich wartość literacka i sąd, jaki o nich wydadzą czytelnicy".

Zważywszy, że nakłady poprzednich „warszawskich" książek Hertza są już dawno wyczerpane, o sąd czytelników nie musi się martwić. „Wieczory warszawskie" idą w księgarniach jak woda...

Paweł Hertz „Wieczory warszawskie", Wyd. Czytelnik, cena 18 zł.

SŁOWNIK PRZYSŁÓW

Nowa „bomba" słownikowa! Słownik przysłów rosyjsko-polski i polsko-rosyjski. Jest to książka niezbędna dla tłumaczy, studentów, nauczycieli, dziennikarzy... Ale przecież jest to także znakomita lektura, ciekawa „silva rerum" ludowej mądrości i dowcipu obu naszych narodów.

Słownik zawiera ponad 3 tysiące przysłów od XIX wieku do współczesności. Ściśle mówiąc — notuje nie tylko przysłowia, ale także potoczne zwroty czyli tzw. porzekadła. Na przykład: „Było, ale się zmyło", „Szukaj wiatru w polu" czy „Szkoda czasu i atłasu"... O dziwo — większość tych przysłów, powiedzonek i porzekadeł ma swoje odpowiedniki w obu językach. Jeszcze jeden przyczynek do związków naszych obu kultur.

J. WIL.

Ryszard Stypuła „Słownik przysłów rosyjsko-polski i polsko-rosyjski", Wyd. Wiedza Powszechna, cena 60 zł.

FILM
PRZEMYSŁ I SZTUKA

Henri Verneuil we własnym kraju zwany jest najbardziej amerykańskim spośród francuskich reżyserów. Łatwo z tym się zgodzić, przypominając sobie jego **„Klan Sycylijczyków"** oglądany u nas wcześniej niż „Ojciec chrzestny". **„CENNY ŁUP"** wrażenie to potwierdza. W kontekście sensacji, na którą czeka się we Francji, a którą ma być wydanie książki byłego szefa francuskiej kinematografii, **Andre Astoux,** pt **„To przeklęte kino"**, ujawniającej nadużycia, skandale w środowisku filmowym oraz niechętny i pogardliwy stosunek do spraw kina władz francuskich. Warto zapewne przytoczyć zwierzenia pana Verneuil:

„Przywykłem do lekceważących uwag. Jest to fatum ciążące nad każdym reżyserem należącym do wielkiego przemysłu rozrywkowego. Krytycy mają swoje ideały, interesuje ich Sztuka; my mamy swoje obowiązki. Musimy zarobić nie tylko na siebie i swoich producentów, ale i na całą kinematografię. Dzięki nam ten interes w ogóle się jeszcze kręci". (Z wywiadu dla „Le Nouveau Cinemonde").

Verneuil stawia zatem sprawę uczciwie — pracuje w przemyśle, ma zatem robić pieniądze, a pecunia non olet, co więcej, pozwala innym robić Sztukę. Nic nowego pod słońcem, tak w kinie było zawsze i tak będzie. Tyle tylko, iż może kiedyś kino w swej młodości będąc naiwniejsze, było trochę uczciwsze — robiło pieniądze mniej drastycznymi metodami, choć zawsze schlebiało gustom, tzw. szerokiej publiczności. Dziś je chyba narzuca gwałtowniej, a znajdując wdzięcznych odbiorców, powiela zamykając koło.

„Cenny łup" Henri Verneuila jest spraw tych przykładem nieomal klasycznym. Reorezentuje niezwykle na dystrybucyjnym rynku filmowym poszukiwany gatunek filmu sensacyjnego z jego dwoma głównymi motywami — przygotowaniem i wykonaniem rabunku, w którym milion dolarów jest sumką wywoławczą oraz pościg policji za gangsterami. W klasycznym filmie sensacyjnym („Rififi", „Topcapi", „Liga dżentelmenów" itp.) sprawa kończy się w sposób wiadomy — sprawiedliwości (prawnej, policyjnej) staje się zadość. Publiczność przeżywa przy okazji emocje ogromne, podziwiając spryt i umiejętności gangsterów, sympatyzując nawet z nimi i oddychając z ulgą, gdy wkracza sprawiedliwość. Ona to bowiem zapewnia bezpieczeństwo, gdy syci sensacji, różni ludzie myśląc o swych mniejszych lub większych kontach, opuszczają kinowe fotele. W filmie tego charakteru dodatkową gwarancją sukcesu jest udział gwiazd. Fikcję kina znakomicie bowiem podbudowują aktorzy-gwiazdy, ucieleśniający najróżniejsze marzenia czy wyobrażenia tych, którzy przychodzą ich oglądać. Verneuil pracuje w przemyśle, wykorzystuje więc wszystkie sprawdzone parametry sukcesu. Zna jednak też konkurencyjną walkę na dystrybucyjnym rynku, jest więc również czuły na wszystkie sygnały nowych zamówień. Nie liczy się więc zbyt z tradycją, nowość, choćby najbardziej tandetną w materii, ludzie kupią.

„Klan Sycylijczyków" przy **„Cennym łupie"** był nieomal przypowieścią moralną, w której zło, przynajmniej na dziś, zostało ukarane. Był to zresztą film w robocie reżyserskiej znakomity, rządzący się żelazną logiką, czego, niestety, o „Cennym łupie" powiedzieć nie sposób. Jedynym śladem ręki mistrza jest pierwsza, ukazująca sam rabunek szmaragdów sekwencja, w której **Jean Paul Belmondo** „pracuje" przy pomocy elektronicznej aparatury. Później zaczyna się pełna nieprawdopodobieństw opowieść, w której wszystko podporządkowane jest niezwykle tanim efektom. Rzecz okrasza niewątpliwie dezynwoltura znakomitego Belmonda, grającego jak zwykle bez dublera oraz świetna, porównywana z „Bullittem" scena pościgu, którą kończy dialogowa pointa godna Oscara.

Jeśli jednak mowa o dawnej „uczciwości" kina robiącego pieniądze i aktualnych poszukiwaniach nowości przez Verneuila, to sprawą rzucającą się w oczy jest rezygnacja z obowiązujących w gatunku konwencji. Rezygnacji tej nie tłumaczą bowiem żadne cele poza samą „nowością", której amoralność jest przy tym oczywista. Postaci reprezentantów prawa pracujących często metodami gangsterskimi znamy z innych filmów, tłumaczących zresztą tę sprawę. W **„Cennym łupie"** mamy postać skorumpowanego policjanta, granego przez Omara Sharifa uosabiającego zresztą „zło", jak zwykle, w stylu niezwykle tandetnym. Ponosi on karę, a wymierzającym sprawiedliwość jest gangster. To przekorne odwrócenie sytuacji nie tłumaczy się jednak żadnymi społecznymi czy moralnymi racjami. Sugestywnie przekazywana widzowi sympatia reżysera dla przebiegłego i odważnego gangstera, o co nie trudno, gdy gra go Belmondo, szokuje, gdy gangster ten przejmuje w swe ręce sprawiedliwość wymierzaną w sposób niezwykle okrutny. Sharif ginie przysypany zbożem w elewatorze, a beztroski Belmondo po wykonaniu wyroku bezkarnie odpływa z ukochaną i kumplem w siną dal zatoki. Zakłócił może Verneuil w ten sposób spokój burżuja, lecz nie usprawiedliwił ogólnej wymowy całej tej sytuacji. Może nie warto by przy tak błahym filmie robić ze sprawy tej problemu nawet, jeśli budzi on moralny niesmak. Ale przecież to właśnie takie filmy oglądają ludzie najczęściej i najchętniej. I takie właśnie filmy niosąc swoje wzorce, zapadają w podświadomość bardzo silnie. Jeśli wspomnieć jeszcze raz zwierzenia Henri Verneuila stwierdzić trzeba, że za kino artystyczne, czyli Sztukę, płaci się cenę dużą i nie w gotówce przeliczaną.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA
FILMOWE STUDIO MŁODYCH

W programach filmowych naszej TV nastąpiło w aktualnym sezonie wyraźne ożywienie. W różnorodnych cyklach łatwo wyczytać świadomą politykę formowania kultury filmowej w społeczeństwie. Oczywiście nadal mechaniczny triumf święcą seriale, które całymi stadami przesuwają się przez ekran, a zwyczajowa już szmira korzysta z umysłowego lenistwa telewidza i funkcjonuje na zasadzie zapchaj-dziury. Nareszcie jednak największy według statystyk kredyt zaufania, jakim cieszy się film w telewizji został sprzężony z szerszymi celami kulturalnymi. Sentyment do starych mitów przedwczorajszego kina jest nadal metodycznie eksploatowany, ale już w formie zorganizowanych retrospektyw, które zapomniane wartości na nowo wprowadzają w społeczny obieg, tworząc tak cenne, bo rzadko w kinie osiągalne poczucie tradycji. Trudno przecenić wielki przegląd kinematografii polskiej minionego 30-lecia, bowiem te filmy to nie tylko bardzo ważny fragment kultury narodowej, ale również realny ślad bezpowrotnego czasu, to okruchy celuloidowego zwierciadła, w którym przeglądają się „niegdysiejsze śniegi".

Jednakże zasługi TV nie kończą się na przywoływaniu tradycji. Znacznie istotniejsze wydają się te jej inicjatywy, które stymulują rozwój współczesnego kina polskiego, wprowadzając młodych reżyserów w samodzielną działalność artystyczną. Polityka debiutów była i jest elementem najczęściej atakowanym polskiej kinematografii. Nadal niewielka ilość rocznie produkowanych filmów, skostniałe hierarchie personalne i administracyjne układy, lęk przed ryzykiem i brak zaufania do młodych składają się na dotkliwy brak szerszej konfrontacji artystycznej między pokoleniami, która zwykle decyduje o dynamice procesów rozwojowych sztuki. Szturm młodych odbywał się różnymi sposobami. Jednym z ostatnich była idea powołania eksperymentalnego Filmowego Studia Młodych im. K. Irzykowskiego na wzór z powodzeniem od lat działającej placówki budapeszteńskiej. Rychło jednak pokazało się, że idea ta dla tych, którzy wokół niej zabiegali stała się „koniem trojańskim" o bardzo zresztą ograniczonej pojemności.

W tej sytuacji opiekę nad młodymi filmowcami pragnącymi rozpoczynać na własny rachunek, objęła telewizja i jest to mecenat dosyć paradoksalny. Mecenat bowiem, wykładając milion złotych na półgodzinny film podejmuje niewątpliwe ryzyko wobec wielomilionowej publiczności, ryzyko, którego nie podjęła kinematografia mimo bardziej wyselekcjonowanych i mniej licznych kręgów odbiorczych. Kryje się w tym miczące przekonanie, że niewybaczalne potknięcia na dużym ekranie w telewizji będą mniej drastyczne z racji jej mniejszych pretensji artystycznych. Tym sposobem środek przekazu o większej sile oddziaływania staje się poligonem twórczych doświadczeń dla środka o sile mniejszej.

Powie ktoś, że jest to stan rzeczy charakterystyczny także dla innych kinematografii zasilanych przez twórców telewizyjnych, by wspomnieć kinematografię amerykańską lub brytyjską. Tam jednak edukacja w warsztacie telewizyjnym przebiegała znacznie dłużej i obejmowała wszystkie formy od filmów reklamowych aż po widowiska teatralne. Reżyseria telewizyjna była profesją wykonywaną bez kompleksów niższości wobec kina. Ważny był stopień opanowanego rzemiosła. I jeżeli dzisiaj zachwyca perfekcja warsztatowa „Francuskiego łącznika" Williama Friedkina, to należy pamiętać, że reżyser ten zrealizował blisko dwa tysiące programów w telewizji chicagowskiej.

U nas jednak telewizja jako dziedzina wyłącznej działalności fascynuje nielicznych, większość natomiast swoje tęsknoty twórcze kieruje w stronę kina fabularnego. Z usług telewizji chce skorzystać chwilowo i bez zobowiązań. Debiut telewizyjny ma świadczyć o dojrzałości i trzeba od razu zauważyć, że stopień ryzyka nie jest aż tak wysoki. Ci, którzy do tej pory z tej szansy skorzystali przeszli już pierwszą selekcję w filmie dokumentalnym lub dali się zauważyć w innej domenie artystycznej. TV stwarza im ubraniona szanse próby sił w formie fabularnej. Oknem wystawowym tej polityki artystycznej jest „Filmowe Studio Młodych", które funkcjonuje mniej więcej co dwa tygodnie w późnych godzinach wieczornych drugiego programu.

Dotychczasowe prezentacje wskazują na rozmaitość zainteresowań debiutantów i szeroki zakres ich kompetencji warsztatowych. Przeważa temat współczesny, choć znajdziemy oryginalną próbę ujrzenia doświadczeń wojennych w serialu Wojciecha Marczewskiego „Odejścia, powroty", którego trzy odcinki składają się na pełnometrażowy spektakl. Trudno jest przekonywająco syntetyzować te próby i na siłę szukać w nich np. wspólnej kreacji bohatera, bliższych więzi tematycznych lub identycznego układu ideowych wartości, do którego miałyby odsyłać. Nie sposób mówić o jednobrzmiącym dyskursie pokoleniowym, ponieważ go nie proponują. Ślad polemiki z utartymi schematami epiki wojennej da się odczytać z filmu Marczewskiego, który prezentuje rzeczywistość nieprzejrzystą w rozwojowych motywacjach i tajemniczą czyli taką jaka istotnie mogła się jawić młodemu bohaterowi.

Wspólna natomiast pozostaje wyostrzona wrażliwość moralna. Łatwo ją odnaleźć w satyrycznym dystansie, z jakim Tomasz Zygadło opowiada historię „Brzydkiego Kaczątka" a Ferridun Erol, reżyser o nieprzeciętnym temperamencie komediowym pokazuje „Balladę o ścinaniu drzewa". Niewątpliwie najciekawszym utworem był do tej pory „Nocleg" Feliksa Falka, znakomicie udramatyzowana opowieść o rozwoju agresji w stosunkach międzyludzkich.

Widoczny jest również wyraźny wysiłek w rozszerzaniu granic wyrazowych kina i próby nowych konwencji dramaturgicznych, które daleko idąca inspirację czerpią z filmu dokumentalnego („Podziemne przejście" Kieślowskiego), kultury ludowej („Myśliwy" Wierzbińskiego) lub poetyki snu („Stacja bezsenność" Wojciechowskiego).

Już w tej chwili zdradzają one nieprzeciętne predyspozycje artystyczne swoich autorów i ujawniają ich wrażliwość na różne zakresy rzeczywistości. Ta cenna wartość winna jak najprędzej ożywić naszą kinematografię bez względu na okoliczności, które nie mają nic wspólnego z autentyczną troską o jej prawidłowy rozwój.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

PLASTYKA
Z KABANOSEM DO PARYŻA

1.

KONCEPCJA: jest to pomysł, projekt, obmyślony plan działania, plan utworu; także dawniejsze — poczęcie, zajście w ciążę. KONCEPCYJNY oznacza odnoszący się do koncepcji; innymi słowy — twórczy. KONCEPT — to trafny pomysł, szczęśliwa myśl, projekt. KONCEPTUALIZM zaś jest to w sporze środowiskowym stanowisko o uniwersalia pośrednie między nominalizmem a realizmem, utrzymujące, że powszechniki (czyli nazwy ogólne) nie mają bytu realnego, lecz są tylko pojęciami (conceptus), tworami naszego umysłu. Konceptualizmu nie należy mylić z KONCEPTYZMEM, który jest jedną z nazw używanych w barokowej literaturze hiszpańskiej XVII wieku.

Na wszelki wypadek dowiedzmy się jeszcze, co oznacza wedle Słownika Wyrazów Obcych, ANTYCYPACJA. Antycypacja zatem jest to wyprzedzenie, przewidywanie, zakładanie czegoś jeszcze nie istniejącego. Jest to pogląd jeszcze nie udowodniony, ale słuszny i znajdujący później swoje potwierdzenie.

Lojalnie uprzedzam, że powyższe wyjaśnienia mogą się nam w dalszych rozważaniach przydać, albo i nie.

2.

Przyznaję, że z dużym zainteresowaniem przeczytałem uwagi i osobiste propozycje interpretacyjne Bożeny Kowalskiej odnośnie VIII Parvskiego Biennale Młodych, które odbyło się w roku ubiegłym i miało ambicje stworzenia wolnego forum dla wszystkich, ważniejszych nurtów awangardowych w dziedzinie sztuk plastycznych. Ta konfrontacja miała udzielić „informacji o międzynarodowej aktywności artystycznej". Godzi się nadmienić, że artykuł Bożeny Kowalskiej zamieszczony został w pierwszym numerze dwumiesięcznika „Sztuka", który ma się ukazywać miast przesławnego „Przeglądu Artystycznego", który zapisał nie najchlubniejsze karty w naszym piśmiennictwie na tematy sztuki i dobrze się stało, że wreszcie odstawiony został do lamusa. Stare przysłowie powiada: „co za dużo, to niezdrowo", a tego, czym karmił nas „Przegląd Artystyczny", było już ponad wszelką miarę.

Uwagi Bożeny Kowalskiej tyczą się przede wszystkim konceptualizmu co zresztą wyraźnie podkreśla tytułem artykułu: „Paryska rewia konceptualizmu". Kowalska pisze, że „dla percepcji paryskiego Biennale trzeba było gruntownego przeistoczenia kryteriów odbioru. (...) wszelkie wyobrażenia o dyscyplinach plastyki straciły tu swoją aktualność, ale też nazwy niedawno powstałe dla określenia nowych rodzajów działania artystycznego zdezaktualizowały się dzięki tych rodzajów wzajemnemu przenikaniu i rozrastaniu poza świeżo sformułowane definicje. Pojęcie tzw. estetyki stało się nie tylko przeżytkiem, ale czymś żenująco niestosownym. Czysta, obnażona treść przekazu, zdobyła sobie należną jej wagę. Rzeczywistość zastąpiła w sztuce iluzję zajmując miejsce przyznawane dotąd innym wartościom. Tym samym dokonane zostało unieważnienie dotychczasowego, tradycyjnego statusu sztuki. Jeśli wszakże przyjmiemy, że sztuka była zawsze przede wszystkim swoistym językiem, którym twórca przekazywał odbiorcy jakieś treści — to zgodzić się musimy, że te dzisiejsze, pozornie wielkie przeobrażenia w sztuce — polegają tylko na zmianie kodu przekazu".

3.

Jakież to nowe kody weszły obecnie w użycie? Carl Plackmann (W. Brytania), wynaturzony osobnik, zamknął żywe żółwie w korytku w kształcie podkowy, demonstrując chętnym tego widowiska kretyńską bezsensowność ich wędrówek tam i z powrotem... Nicolas Lang (NRF) wystawił kolekcję zasuszonych żab, żuków i chrabąszczy... Claudio Parmiggiani (Włochy) eksponował kolorowe zdjęcia różnych zwierzątek, oczywiście odpowiednio „ciekawie" fotografowanych... Wolfgang Weber z grupy Düsseldorfer w jarmarcznym namiocie, pośród cekinów i brokatów umieścił „Wspaniałego, fantastycznego Tarzana" — rachityczną figurynkę z plastiku z ogromnym, pomalowanym na czerwono fallusem... Zresztą jedna z tych figurynek podarowana została przez artystę prezydentowi Pompidou łącznie z kurtuazyjno-ironicznym listem. B. Kowalska nie pisze, czy był to li tylko chwyt reklamowy, czy też przeniesienie „działania artystycznego" poza mury Musée d'Arte Moderne, gdzie zlokalizowano VIII Biennale. Peer Wolfran (NRF) sprzedawał wykonanych z papier-maché ludzi — białych i czarnych, mężczyzn i kobiety... Colette Whiten (W. Brytania) skonstruowała maszynę do eksponowania ludzkiego ciała w najrozmaitszych pozach... Tomas Stjauby (Węgry) twierdził z uporem, że „Wszystko, co zrobione, jest sztuką" i pod zdjęciem matki wietnamskiej, płaczącej nad zabitym dzieckiem, podpisał: „płaczący artysta". Chciałoby się rzec: — w polskim filmie za takie numery bije się w mordę. Hans de Vries (Holandia) „zaprezentowany został fragmentami notatek typu analitycznego na poły naukowego, stanowiących świadectwo szerokich jego zainteresowań, obejmujących zagadnienia astronomii, rolnictwa, hodowli pszczół i owiec itd". Anna i Patryk Poirier (Francja) zbudowali makietę ruin nieistniejącego miasta antycznego „Ostia Antica" o wymiarach 1140×575 cm.

Jak z powyższych przykładów wynika, najnowsze kody będące w użyciu są trudne do odczytania, jak sądzę, także i dla samych ich twórców. Lecz niech żywi nie tracą nadziei. Ile to namordowano się z hieroglifami egipskimi, z pismem klinowym Sumerów, ze znakami runicznymi? Powoli, powoli, a i kody awangardy będziemy czytali jak elementarz, jak kody Tycjana, El Greca, Modiglianiego...

4.

Występ konceptualistów polskich, tzw. Drugiej Grupy w składzie: Lesław i Wiesław Janiccy oraz Jacek M. Stokłosa, aczkolwiek nawiązał bardzo wyraźnie do tradycji rodzinnych, nie odniósł spodziewanych sukcesów. Może organizatorzy i krytycy spodziewali się, że Polacy przywiozą żywe niedźwiedzie i puszczą je do odpowiednich rozmiarów makiety powiedzmy Pałacu Kultury, albo fotograficzną dokumentację z życia seksualnego żubrów? A tu tymczasem Polacy przysłali do Paryża worki z kaszą, fasolą, mąką, cukrem w ilości wystarczającej na przeżycie w tym uroczym nadsekwańskim mieście lat kilkunastu. Dodać trzeba, że owo żarcie zostało do Paryża przywiezione z pominięciem opłat celnych.

Ale ja się pytam — czy to jest awangarda? Każdy polski turysta zabiera ze sobą za granicę parę kilo kabanosów i ile się da spirytualii. To przecież nie awangarda, to klasyka starsza bodaj od polskiego koloryzmu. Ale z drugiej strony właśnie polscy turyści udowodnili, że każdy może być artystą. Moje rozważania potwierdza zresztą B. Kowalska pisząc: „Nie tylko rzeczywistość przedmiotowa, co stało się już dość dawno, zyskała nobilitację artystyczną, nie tylko koncepcja myślowa, nie tylko — wreszcie — komentarz artysty o sztuce, ale sama osobowość twórcy, jego podstawa: obojętnie wobec jakich zagadnień i obojętnie jakim wyrażona sposobem. Sztuka jest dziś zatem wszystko, co stanowi przekaz bezinteresownego wyboru i działania. W tym sensie każdy — teoretycznie — może być artystą. Jednakże nie każdy przekaz na tyle jest ważki, tj. posiada dostateczną nośność treści uniwersalnych, by stanowić dzieło sztuki".

Przepraszam bardzo, przekaz w postaci kabanosa na Montmartrze, czy na Placu Pigalle posiada ogromną nośność treści uniwersalnych i na pewno jest dziełem sztuki. Mieliśmy zawsze kłopoty z wyjściem na Zachód naszymi obrazami i rzeźbami, ale sprawę uratowali konceptualiści, kabanosy i czysta wyborowa. A swoją drogą i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

5.

Mark Prent (Kanada) zaaranżował sklep rzeźniczy, w którym handlował ludzkim mięsem. „Na tacy, obok wagi, leżał polichromowany tors ludzki, bez rąk. Za szkłem lady chłodniczej wystawione były piersi kobiece — czarnych i białych kobiet — pokrojone w plasterki, z zatkniętymi w nie na drucikach cenami od kilograma, a dalej gałki oczne, kawałki porąbanych głów, marynowane w zielonym occie fallusy... Obok część ciała ludzkiego obracała się z wolna, opiekana na rożnie" relacjonuje Bożena Kowalska.

Rozmawiałem o tym z człowiekiem, który przeszedł przez kilka obozów koncentracyjnych i był królikiem doświadczalnym w rękach hitlerowskich „naukowców". Powiedział:

— Jeżeli to miał być dowcip — to znam lepsze. Jeżeli protest, to miałki jest jego ciężar. Tamtych lat, które przeżyłem i obrazów, które mam w sobie, nic nie wymaże. I żadna sztuka nie pokaże tego, bo to, co działo się wtedy, przerastało skalę ludzką, przerastało granice człowieczej wyobraźni. Odrąbane plastikowe piersi? Ja widziałem piersi odcięte żywej kobiecie...

Tak więc na szalę połóżmy makietę nieistniejącego miasta antycznego i odsłonięta spod pokładów wulkanicznej lawy Pompeję...

ANDRZEJ GRUN

MAGAZYNEK

CHĘCI JUŻ SĄ!

Prawie na pewno powstanie cykl filmów o silnych Polakach. Przypomniani zostaną tak sławni nasi mocarze, jak Janko z Dąbrówki, który na powiece teściową huśtał, Mrzysław Językowy z Cisowia, co językiem sęki wybijał, poetka liryczna Żanna Leśna, która patelnię zawijała i w zamyśleniu końskie paznokcie obgryzała, oraz szereg innych. Po zakończeniu powyższego cyklu czynione będą próby nakręcenia — o ile oczywiście uda się zebrać odpowiedni materiał — krótkiego filmiku o mądrych Polakach.

NOWE TYPY

Na Zachodzie lansowany jest obecnie nowy typ gwiazdy filmowej. Oto ogólne określenie jej sylwetki: chuda, brzydka i złośliwa. Drobne defekty fizyczne mile widziane, gdyż budzą one ciepłe uczucia widza. Nie bez znaczenia jest fakt, że sceny erotyczne w wykonaniu takich aktorek nie wzniecają już niezdrowych pragnień, a więc bez najmniejszego uszczerbku dla zdrowia mogą być oglądane nawet przez nieletnich. Dogonimy Zachód — twierdzą optymiści.

NOC PEŁNA DŹWIĘKU

Ciekawą przygodę opowiadał nam ostatnio znany reżyser filmów dydaktyczno - oświatowych. Pewnego razu, wskutek nawału prac inscenizacyjnych, położył się on później niż zazwyczaj do łóżka. Przez całą noc głośne i natarczywe odgłosy, jakby suchego klaskania, nie pozwoliły mu na zmrużenie oka. Rano okazało się, że przez pomyłkę udał się na spoczynek z hiszpańską tancerką, a ów klasyczny dźwięk, który nękał go w nocy to były po prostu jej kastaniety.

SPÓŹNIONA REWELACJA

Jak się dowiadujemy, Komisja Scenariuszowa zatwierdziła ostatnio słaby i nudny scenariusz. Potem na podstawie tego niedobrego scenariusza mało zdolny reżyser nakręcił długi i nieudany film. Potem na t. zw. kolaudacji niedobry ten film został przyjęty, oceniony pozytywnie i skierowany do rozpowszechniania w kinach całego kraju. A potem, gdy ten film ukazał się na ekranach, nikt nie chciał kupować biletów i sale kinowe były puste. A już zupełnie potem krytycy filmowi rwali sobie włosy z głowy i narzekali, dlaczego zatwierdza się takie słabe scenariusze i dlaczego robi takie złe filmy...

Cha, cha, cha, cha! To oczywiście nasz spóźniony Prima Aprilis! Nie daliście się nabrać, prawda?

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

DNI OŚWIATY KSIĄŻKI i PRASY

ANDRZEJ GRUN

Fot. Archiwum

Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

KOMEDIA OMYŁEK

„Życie Warszawy" opublikowało listę pisarzy podpisujących swoje książki na kiermaszu. Zmieniono tam imiona Aleksandrowi Jerzemu Wieczorkowskiemu i Markowi Sadzewiczowi, przekręcono nazwisko Karolowi Małcużyńskiemu, z Anny Kamieńskiej zrobiono mężczyznę... Żeby się wszystko w sumie zgadzało z Janusza Odrowąża-Pieniążka zrobiono.... panią Pieniążkową.

Co się stało z tradycyjną solidnością „Życia Warszawy"?

Z BLISKA GORZEJ WIDAC

W łódzkim numerze „Życia Literackiego" czytamy: **„Darmo szukać w potężnym już dzisiaj osiedlu Teofilów domu kultury, porządnej biblioteki czy chociażby tylko kawiarni...."** Koniec cytatu.

Głupia sprawa. Na Teofilowie jest parę bibliotek, są też kawiarnie i jest — o dziwo! — dom kultury. Z daleka gorzej widać — mógłby ktoś powiedzieć. Żeby jednak było śmieszniej słowa te napisał... łódzki autor!

TYTUŁ

„Express Ilustrowany" reklamuje powieść Saroyana „Pewnego dnia o zmierzchu". Z braku miejsca prawdopodobnie skrócono piękny, poetycki tytuł tej książki, który brzmi: „Pewnego dnia o zmierzchu świata".

Amputując metaforyczny tytuł zgubiono w owej mini-recenzji cały sens refleksyjnej powieści Saroyana. Autora notatki bardziej fascynują mistrzostwa base-ballu niż atmosfera i wymowa tej książki.

O DWÓCH SIOSTRACH, ZWOLENNICZKACH LITER

Starsza z nich, dziewczę nie w ciemię bite,
miała od dziecka pociąg do liter.
Młodsza obrała drogę kariery,
co wiedzie poprzez cztery litery.

SPRAWOZDANIE Z TERENU

„... Co do oświaty, zapewnić mogę,
jesteśmy pierwsi w naszym powiecie.
Wszak abonament za „Chłopską Drogę"
wpłacili nawet analfabeci."

HORACY SAFRIN

FRASZKI

W OKNACH PEWNEJ KSIĘGARNI

Książki, od życia i sztuki odległe,
grożą przechodniom: „Panie, kup pan c e g ł ę!"

NA GADATLIWEGO PRELEGENTA

Porwał go nurt wymowy. Płynął uśmiechnięty.
Potem w głowach słuchaczy pozostały — męty.

NA „RROZAICZNĄ" PRZYJACIÓŁKĘ

Taką „prozę" con amore
nocą do poduszki biorę.

PUBLICYSTA – ASEKURANT

„Gdy stanę na uboczu — rozmyślał z polotem —
rydwan dziejów najwyżej obryzga mnie błotem"!

O PROPAGANDZIE MASOWEJ

Widział we śnie Alp szczyty, falujące morze...
I obudził się rano. Przy telewizorze.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

JEAN PAUL SARTRE

INTYMNOŚĆ

Lulu wyciągnęła palec z dziury w prześcieradle i poruszyła trochę nogami; miło jej było czuć własną sprawność, gdy tak leżała obok tego miękkiego i zniewolonego ciała. Posłyszała jakieś burczenie: denerwują mnie te odgłosy dobywające się z brzucha, nigdy nie wiem, czy to jemu burczy, czy mnie. Zamknęła oczy: to płyny przelewają się w miękkich białych kiszkach, każdy ma takie, Rirette ma takie i ja mam takie (nie lubię o tym myśleć, mdli mnie). On mnie kocha, ale nie kocha moich jelit: gdyby mu pokazano moją ślepą kiszkę w słoiku, nie poznałby jej, bez przerwy mnie obłapia, ale gdyby mu dano ten słoik do ręki, nie by nie poczuł, nie pomyślałby „to jej ślepa kiszka"; jak już się kocha, to powinno się kochać wszystko, przełyk i wątrobę, i jelita. A może nie kocha się ich po prostu dlatego, że to nie jest w zwyczaju. Gdyby się widziało te części ciała tak, jak się widzi ręce, ramiona i twarz, może by się je też kochało; ja myślę, że rozgwiazdy lepiej się muszą kochać niż ludzie, kładą się na plaży w słońcu i wysuwają żołądek na wierzch, żeby się przewietrzył, i każdy go może zobaczyć; ciekawa też jestem, którędy byśmy wystawiali swój żołądek, przez pępek, czy jak? Zamknęła oczy i niebieskie tarcze zaczęły wirować, jak wczoraj w wesołym miasteczku, rzucałam w nie gumowymi strzałkami i po kolei zapalały się różne litery, tworzyły razem nazwy miast, on mi nie dał wypisać całego DIJON z tą swoją manią przylepiania się do mnie z tyłu, nie znoszę, jak ktoś mnie z tyłu dotyka, chciałabym w ogóle nie mieć pleców, nie lubię, jak mnie rusza ktoś, kogo nie widzę, on się podnieca, a ja nie widzę nawet jego rąk, czuję, jak mi łażą po całym ciele, nigdy nie można przewidzieć, gdzie zawędrują, on cię wprost zjada wzrokiem, a ty go w ogóle nie widzisz, on to strasznie lubi; Henrykowi nigdy by to na myśl nawet nie przyszło, a ten bez przerwy tylko kombinuje, jak się znaleźć za moimi plecami, i jestem pewna, że on naumyślnie maca mnie po tyłku, bo wie, że się wstydzę, a to go podnieca, że ja się wstydzę, ale dość już, nie chcę o nim więcej myśleć (bała się), chcę myśleć o Rirette. Myślała o Rirette co wieczora o tej samej godzinie, wtedy gdy Henryk zaczynał mruczeć i jęczeć przez sen. Ale nie poszło jej wcale tak łatwo, tamten chciał się jej ukazać, nawet ujrzała w pewnej chwili czarną, skłębioną czuprynę i pomyślała, że to już, i wstrząsnęła się, bo nigdy nie wiadomo, co ci się ukaże, jeśli twarz, to jeszcze dobrze, można wytrzymać, ale było i tak, że przez całą noc nie zmrużyła oka, bo jakieś świńskie wspomnienia wypływały na powierzchnię; to straszne znać całe ciało mężczyzny, a zwłaszcza t o. Z Henrykiem jest inaczej, mogę go sobie wyobrazić od stóp do głów, rozczula mnie, bo jest taki miękki, ma całe ciało szare, tylko brzuch różowy, mówi zawsze, że dobrze zbudowany mężczyzna, jak siedzi, to ma trzy fałdy na brzuchu; on ma ich sześć, ale liczy po dwie i tamtych nie chce dostrzec. Z irytacją przypomniała sobie słowa Rirette: „Lulu, ty nawet nie wiesz, jak wygląda piękne, męskie ciało!" Idiotka. Oczywiście, że wiem, ona myśli o ciele twardym, jak kamień, z takimi strasznymi muskułami, nie lubię tego, Patterson miał takie ciało, a ja się czułam miękka jak gąsiennica, gdy mnie przyciskał do siebie; za Henryka wyszłam dlatego, że był taki miękki, podobny do księdza. Księża są łagodni, jak kobiety, w tych swoich sutannach, i podobno noszą pończochy. Jak miałam piętnaście lat, często chętka mnie brała podnieść takiemu księdzu suknię, zobaczyć jego kolana i kalesony, dziwne mi się wydawało, że oni coś tam mogą mieć między nogami; jedną ręką podniosłabym sutannę, a drugą bym wsunęła wysoko między nogi, aż tam, gdzie wiecie, nie, żebym specjalnie lubiła kobiety, ale takie męskie przybory pod suknią, to muszą być delikatne, łagodne, jak duży kwiat. Najgorsze jest właściwie to, że nie można tego nigdy wziąć do ręki, żeby przynajmniej się nie ruszało. Ale to zaczyna zaraz ruszać się, jak zwierzątko, robi się takie twarde, ja się boję, to takie brutalne, jak jest twarde i wyprostowane, fuj, miłość to takie straszne brudy. Kochałam Henryka, bo jego ptaszek nigdy nie twardniał, nie podnosił głowy, śmiałam się, całowałam go czasem, wcale się go nie bałam, był taki zupełnie dziecinny; wieczorem brałam jego miłego pimpusia do ręki, on rumienił się i odwracał głowę z westchnieniem, ale to się nie ruszało, grzecznie leżało w mojej dłoni, ja nie ściskałam za mocno i długośmy tak leżeli, aż Henryk wreszcie zasypiał. Wtedy kładałam się na wznak i myślałam o księżach, o różnych czystych rzeczach, o kobietach i gładziłam się najpierw po brzuchu, po moim ładnym, płaskim brzuchu, potem niżej, niżej, i wreszcie odczuwałam rozkosz; rozkoszy to mi nikt dać nie potrafi, zawsze muszę sama.

(Fragment)
Tłumaczył: Jerzy Lisowski

Jean Paul Sartre, francuski filozof, pisarz i publicysta. Główny przedstawiciel egzystencjonalizmu; założyciel i naczelny redaktor „Les Tempes Modernes"; dramaty — „Muchy", „Diabeł i Pan Bóg", powieści — „Drogi wolności", opowiadania — „Mur"; autobiografia — „Słowa". Nagroda Nobla 1964.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1046. C-4. Nr indeksu 37006